

TYGODNIK ILLUSTROWANY

WITRAŻ Z KOŚCIOŁA
NOTRE DAME
DES VICTOIRES
WE FRYBURGU (Szwajcarya)



JÓZEF MEHOFFER

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie... nie poskąpiłeś nawet najwyższych darów nieba—geniuszów. Ale, zamiast ocenić godnie Twą łaskę i szczodroblivość, jako bydlęta nierozumne depcą bezcenne klejnoty, tako i my depcemy dary Twoje—Proroki nasze.

Wyspiański umarł.

Wyprawiono mu królewski pogrzeb. Huczaly dzwony Zygmuntofskie, i karawan uginął się pod ciężarem wieńców. Kirem żałoby okrył się gród podwawelski, a licę delegatów powlókł należyń chwilę, uroczysty smętek, przez który jednak przeświecała zasłużona duma, że oto *my* chowamy męża tej miary... Że on wyszedł z pośród nas... *My!... nas!...*

I pisma zamieściły podobizny i nekrologi i całą powódź artykułów okolicznościowych. A w modnych salonach zrobił się gwar i szczebiot niezwykły, bo na jałowe pytle poszło nowe mlewo...

No więc o co chodzi? Gdzie tragedia?

O, nie w tem, że umarł Wyspiański! Bo z za grobu będzie głośniejsz mówić, niż za życia. Ale tragedia w tem, że dzwony huczaly *obłudnie*, i *obłudą* był ten smętek majestatyczny i te łzy... Łzy lano na mogile tego, któremu *za życia nie dano pracy, jakiej łaknął!*

Była harfa olbrzymia, co prosiła się *jego* ręki, bo tylko jego ręce zdolne były poruszyć jej struny i dać im taką moc, że od dźwiękówby nieba pękały...

I on—Wyspiański—wyciągał do tej harfy płańcące dłonie, ale *Blaks*-cham odtrącił je i harfę potrzaskał...

Cóż to za nowa bajeczka?

Nie bajeczka i nie nowa. Przypomnijcie historię malowania Jasnej Góry i Wawelu.

Wspominam o niej, bo zdaje mi się, że, mimo te gorzkie żale nad mogiłą Wyspiańskiego, nie zdajemy sobie sprawy z jednej rzeczy zasadniczej.

Oto z tej, że mieliśmy dotąd dwóch malarzy-dekoratorów bardzo różnych, ale obu w wielkim stylu, artystów wszechświatowej miary. Jeden z nich odszedł i zabrał ze sobą tę sztukę, którą żywi wzgardzili. Pozostał drugi zdaje się również nam niepotrzebny — Józef Mehoffer. Jemu chcemy poświęcić te karty.

Roku 1894 rozstrzygano we Fryburgu międzynarodowy konkurs na witraże dla starej późnogotyckiej katedry fryburskiej. W konkursie tym brało udział około czterdziestu artystów różnych narodowości. Pierwszą nagrodę przyznano pracom, których autorem okazał się Józef Mehoffer, mało znany wówczas młody dwudziestokilkoletni artysta.

Dzięki temu konkursowi Fryburg pozyskał szereg witrażów, jakimi się nie może poszczycić żadne inne miasto europejskie, a artysta polski zdobył *pracę*, której „ojczyzna“ dać mu nie umiała.

Nie każdemu wiadomo, że witraż stanowi specjalny odłam sztuki dekoracyjnej, odłam, gdzie nie wystarcza guścik, ani nawet głębszy talent dekoracyjny, ale wymaganą jest poważna wiedza techniczna i doświadczenie.

Kto chce studyować i rozumieć witraże, musi zwrócić się do epoki, która je wydała, do epoki największej może od czasów hellenickich kultury estetycznej, do wieków średnich.

Witraż powstał i rozwinął się w związku z architekturą. Okna katedr romańskich i gotyckich należało oszklić. A że szkło umiano wyrabiać tylko w bardzo małych kawałkach, oczywiście ka-

wałki te wypadło spoić. Spajano je zatem ołowiem, który tworzy niejaka ciemną grubą na palec ramę dookoła każdej płytki. Jednocześnie rozumiano, że zamiast szkielec bezbarwnych można użyć barwionych i że, zamiast chaotycznej mozaiki barwnych płytek, można je wykrawać i układać w ten sposób, aby tworzyły powierzchnię, skomponowaną w sensie dekoracyjnym.

Ale kompozycja nie była rzeczą łatwą. Nie tylko dlatego, że szkło twarde trudno było krajać przy pomocy rozpalonego żelaza, ale i dla innych względów.

Powierzchnia okien była ogromną już w XII wieku i zwiększała się w miarę postępu epoki. Przytem te ogromne wielometrowe powierzchnie były oddalone bardzo znacznie od oka na 10, 15 i 20 metrów. Otóż rzecz w tem, że jeden i ten sam witraż z tej odległości wygląda wcale inaczej, aniżeli zblizka. Jedne kolory giną, inne zmieniają się do niepoznania, podobnie i kształty.

Największą trudność stanowi tu zjawisko tak zwanego *promieniowania*. Światło, przechodząc przez daną płytkę, ma własność rozpraszania jej barwy na płytki zwykle sąsiednie i zabarwiania ich odpowiednio, przyczem samo zmienia i ton i kształt. Nadto każdy kolor ma inny stopień promieniowania i powoduje bardzo różne zjawiska optyczne, z którymi konieczmie kompozytor musi się liczyć, i nie tylko liczyć, ale je opanować i wyzyskać, t. j. nagiąć do nowych celów. Dzięki promieniowaniu np. niebieskiej barwy (które jest najsilniejszym) sąsiednia czerwona może się zamienić w ciemnofioletową, albo nawet zgoła czarną, żółta stanie się zieloną, biała—szaro-niebieską, ciemne kontury mogą być roztopione, grube na centymetr kreski niekiedy giną zupełnie, na odległości 20 metrów oko nie będzie ich podejrzawać i t. d.

Ujemne skutki promieniowania do pewnego stopnia neutralizuje ołów. Bez niego forma byłaby chaotyczna, rozpieczchnięta, wszystkoby się zlewało w bezkształtne kolorowe masy. Ołów swym grubym konturem ujmuje ją, wiąże, daje kształtom siłę i wyrazistość. Zrozumieli to dobrze twórcy witrażów średniowiecznych i znakomicie umieli się tym środkiem posługiwać dla celów kompozycyjnych.

To jednakże nie wystarczało. Należało wiedzieć jeszcze, jakie barwy można umieszczać obok siebie, jakie jest *maximum* powierzchni dla każdej barwy, jak neutralizować działanie promieniowania i t. p.

Niepodobna nam tu wykazywać na przykładach, do jak dowcipnych sposobów uciekano się w walce z promieniowaniem. Nie rozstrzygał o tem oczywiście geniusz osobisty malarzy, ale ten olbrzymi, gromadzony w ciągu wieków i przechodzący z pokolenia na pokolenie zasób doświadczenia.

Rozumie się, już w wiekach średnich witraż przeszedł całą ewolucję, prosty i jasny w. XIII—w w. XV staje się mniej szeroko traktowany, ale niesłychanie bogaty w skutek rozwoju techniki. Szklę otrzymują nowe i niezmiernie piękne odcienia, ale użycie ich jest mniej doskonałe, kompozycja mniej szeroka. Prawa optyki i promieniowania zapoznane, pewne nadużycie cieniowania, które szkodzi przejrzystości szkielec, wreszcie rysunek prześliczny, ale za mało przystosowany do odległości i dekoracyjnego efektu witrażu. Przepiękne zblizka—z odległości tracą niezmiernie wiele. Zresztą nie można tego uogólniać.

Naprawdę śmierć sztuce witrażów niesie późne Odrodzenie. Olśnieni doskonałością malarstwa włoskiego, artyści zarzucają dawne tradycje, unikają ołowiu, w którym widzą zło ko-

nieczne, bo nie znaleźli czarnych konturów w obrazach mistrzów włoskich XVI w., których prace poprostu i ordynarnie kopiują, z cieniami, perspektywą etc., malując przezroczytymi farbami na płytach szkła białego przejrzystego.

Sztuka umiera, bo utraciła zasadnicze swe podstawy, dekoracyjny punkt wyjścia i wyzyskanie materiału. Odradzać się zaczyna dopiero w końcu XIX w.

Kiedy Mehoffer wystąpił z projektami witrażów na konkursie fryburskim, miał już za sobą wieloletnie i gruntowne studia w tym kierunku. Zaczął je, kiedy, korzystając z restauracji kościoła Maryackiego, na rusztowaniu kopiował stary średniowieczny witraż za wielkim ołtarzem. Potem podczas swoich wyjazdów do Francji (która jest ojczyzną witraży) w podobny sposób studyował bezcenne stare szkła Rouen, Amiens, Paryża, wreszcie Strassburga, malował je, przywoził z sobą całe stosy notatek i kopii. Zresztą studyował średniowieczną sztukę dekoracyjną, gdzie tylko miał po temu sposobność: we Włoszech, w Czechach i krajach korony austriackiej.

Podobne studia w rękach talentu miernego mogą doprowadzić w najlepszym razie do mniej lub więcej udatnych kopii, czy kompilacji średniowiecza. Tymczasem witraże Mehoffera zdradzają artystę samodzielnego i nawskroś współczesnego.

Jego studia przygotowawcze dały mu tylko ogromne odczucie, zrozumienie szkielec średniowiecznych—*wniknięcie w istotę stylu*. Nie stylu tej lub owej epoki, ale *stylu wogóle*, t. j. doskonałego zrozumienia wymagań *materiału*, oraz *potrzeby*, jakiej witraż zadośćczyni.

Dały mu, słowem, silną podstawę.

Ale na tej podstawie wsparł się artysta, obdarzony niezwykłą inteligencją i nadzwyczajnym—*fenomenalnym*—talentem dekoracyjnym.

Wzruszenie poprostu mnie ogarnia, ile razy patrzę na tę cudowną—giętką, a żywą linię Mehoffera: genialne wyzyskanie ołowiu, jako środka ujęcia formy. Ktokolwiek sam nie próbował witrażu, nie pojmie nigdy, w jak szczególny sposób kojarzy Mehoffer *uproszczony z konieczności* kształt każdej płytki, z takim wdziękiem i takim wyrafinowaniem linii, na jakie się zdobyć mogła tylko sztuka współczesna. Ile dowcipu np. w rysunku drzewa, w powiązaniu jego konarów, gałęzi, partyi liści. Tak samo dowcipnie i wytwornie rozwiązuje ta linia kształt ludzki, draperyę sfaldowaną, motywy architektoniczne i t. d. Albo kwiaty, które Mehoffer tak zna, tak kocha i tak chętnie wprowadza do swych kompozycji.

U żadnego z artystów-dekoratorów współczesnych nie spotykamy tego przepychu i subtelności linii. Staramy się śledzić pilnie ruch sztuki europejskiej, przeglądamy skrupulatnie setki wydawnictw, jej poświęconych. Wszystko, cośmy widzieli w szklach lub kartonach—jest poprostu dzieciństwem wobec pomnikowych dzieł Mehoffera w zakresie witrażu.

Oceniono to na terenie europejskim. Kartony Mehoffera, wystawione w Paryżu, przyniosły mu najwyższą oznakę honorową—medal złoty, a wystawione we Florencji, paręset podpisów artystów włoskich, będących wyrazem uznania dla jego pracy.

A u nas?

U nas ks. prałat Nowowiejski tak pisze w liście do artysty:

„Obcinanie twarzy i nosów (w skutek zaniedbania architektury) *haniebnie* wychodzi i że myślę, że samo tylko składanie maleńkich szkielec kolorowych daleko więcej utrudnia zadanie artysty, tworzącego obraz, niż *malowanie* tychże szkielec większych“... (DN)



WITRAŻ: RZEŻ NIEWINIĄTEK

JÓZEF MEHOFFER

BOLESŁAW PRUS:

DZIECI

POWIEŚĆ.

46)

Na szczęście skończył się ten głupi sentymentalizm wraz z opuszczeniem Leśniczówki. Jak zaś demoralizująco oddziaływał na niego pobyt między kobietami, przekonywa się dziś, gdy po parugodzinnem chodzeniu czuje się zmęczonym.

Jakiś wyraz, głośniejszy wypowiedziany u wejścia do jaskini, zwrócił uwagę Świrskiego; więc przestał rozmyślać i zaczął słuchać. Przy blasku ognia doskonale odróżnił kilka postaci. Człowiek, który palił fajkę, był w burce, miał rzadki zarost rudawy i twarz bladą, jak kreda. Ten, który trzymał imbryk, był również w burce; ale twarz miał koloru miedzianego, ciemny, nieporządnie utrzymany zarost i włosy długie, które chyba nigdy nie pamiętały grzebienia. Trzeci człowiek, w palcie i czapce z daszkiem, był odwrócony do Kazimierza tyłem. Kilku innych trudno było dojrzeć przy migotliwym ognisku; czasem jednak ukazało się czyjeś ucho, innym razem blond broda, albo błysnęła jakaś twarz na mgnienie oka.

Człowiek z imbrykiem. A co to za jeden, ten młody?... Niedługo chyba zaczną tu przychodzić nawet strażnicy...

Człowiek z fajką. To znajomy kapitana i tych uczniów. Podobno bardzo bogaty!...

Człowiek z imbrykiem. To po co do nas przyszedł, jeżeli bogaty?...

Głos z cieniu. Każdy ma prawo walczyć za wolność...

Człowiek z imbrykiem. O, pan dużo wjuje za wolność!... Kto ma pieniądze, ma i wolność, zatem po co taki młody snuje się między nami?...

Drugi głos z cieniu. Może chce się zabezpieczyć, kiedy przyjdzie czas podziału...

Głos z cieniu. W Ameryce każdy może robić, co mu się podoba, ale majątków nie rozdzielają. Więc i u nas nieprędka to nastąpi.

Człowiek z imbrykiem. To też trzeba tępić burżujów, gdzie się zdarzy. Kapitan jest za miękkimi...

Głos z cieniu. Prawda temu była!...

Człowiek z imbrykiem. A ja swoją drogą nie dowierzałbym paniczom. Niech takiego złapią, wszystko wygada i nawet sprowadzi tu żandarmów...

Człowiek z fajką. A Staśkowi dowierzasz pan?... Przecie to hycel z pod ciemnej gwiazdy...

Człowiek z imbrykiem. Prawda, że hycel, ale nasz... A taki panicz może właśnie przyszedł po to, ażeby nas wybadać i przy okazji denuncyować...

Świrskiemu, kiedy słuchał tych zwierzeń, krew uderzała do głowy. Chwilami go ogarniała taka wściekłość, że chciał zerwać się, pobiedz do ogniska i uderzyć nieznanego oszczerce; ale opanował się i nie poruszył. Zresztą i rozmowa przerwała się, ponieważ wszedł Dziewiątka i paru obecnych wezwał na zmianę warty.

Świrskiemu dotychczas wszyscy i wszędzie okazywali zaufanie: w domu, w szkołach, w Leśniczówce. Do denuncyantów o najwcześniejszego dzieciństwa czuł prawie fi-

zyczny wstręć... I dopiero dziś, po raz pierwszy w życiu, usłyszał, że jest podejrzany przez ludzi, do których miał zamiar zbliżyć się, żyć z nimi, narażać się i pracować nad ich uszlachetnieniem. On chciał uczynić ich bohaterami, a oni lękali się w nim możliwego denuncyanta!...

Do jaskini zaczęło schodzić się coraz więcej partyzantów: przeciągali się, ziewali, zataczali i upadali na kupy zielonych gałązek, służących za posłanie. Rozmowy milkły, a natomiast głośniejsze rozlegały się sapania, chrapania, okrzyki przez sen... Nie podsycane ognisko dogasało, wreszcie zupełnie zgasło; ze sklepienia, w długich odstępach czasu, spadały krople wilgoci.

Świrski nie mógł zasnąć: był trochę głodny, ale nade wszystko zirytowany; burza uczuć kipiała mu w piersiach i uderzała do głowy: gniew, niepewność, nieokreślona obawa, tęsknota... Naprawdę stulał powieki i usiłował nie myśleć; myśli rodziły się z niczego i coraz jaskrawszych nabierały kolorów...

Nagle w ciemnej, jak piwnica, jaskini Świrski usłyszał szmer. Ktoś podniósł się, przekroczył leżących obok sąsiadów i zaczął cicho pełzać w stronę Kazimierza... Przypełznął, jakiś czas leżał bez ruchu, potem z wolna wznosił rękę, położył ją ostrożnie na piersiach Świrskiego i—bardzo zręcznie, bardzo delikatnie, zaczął... rewidować mu kieszenie... Świrski coraz wyraźniej, coraz bliżej czuł jego nie miły oddech i—nagle machnął pięścią przed siebie. Rewident, mocno uderzony w głowę, cofnął się... Słychać było leciutki szelest, i niebawem wszystko umilkło.

Na drugi dzień Świrski przekonał się, że jednak—zginął mu woreczek z kilkoma rublami i bilonem. Na szczęście została mu przeszło setka rubli, które nosił pod koszulą, w woreczku, na plecach...

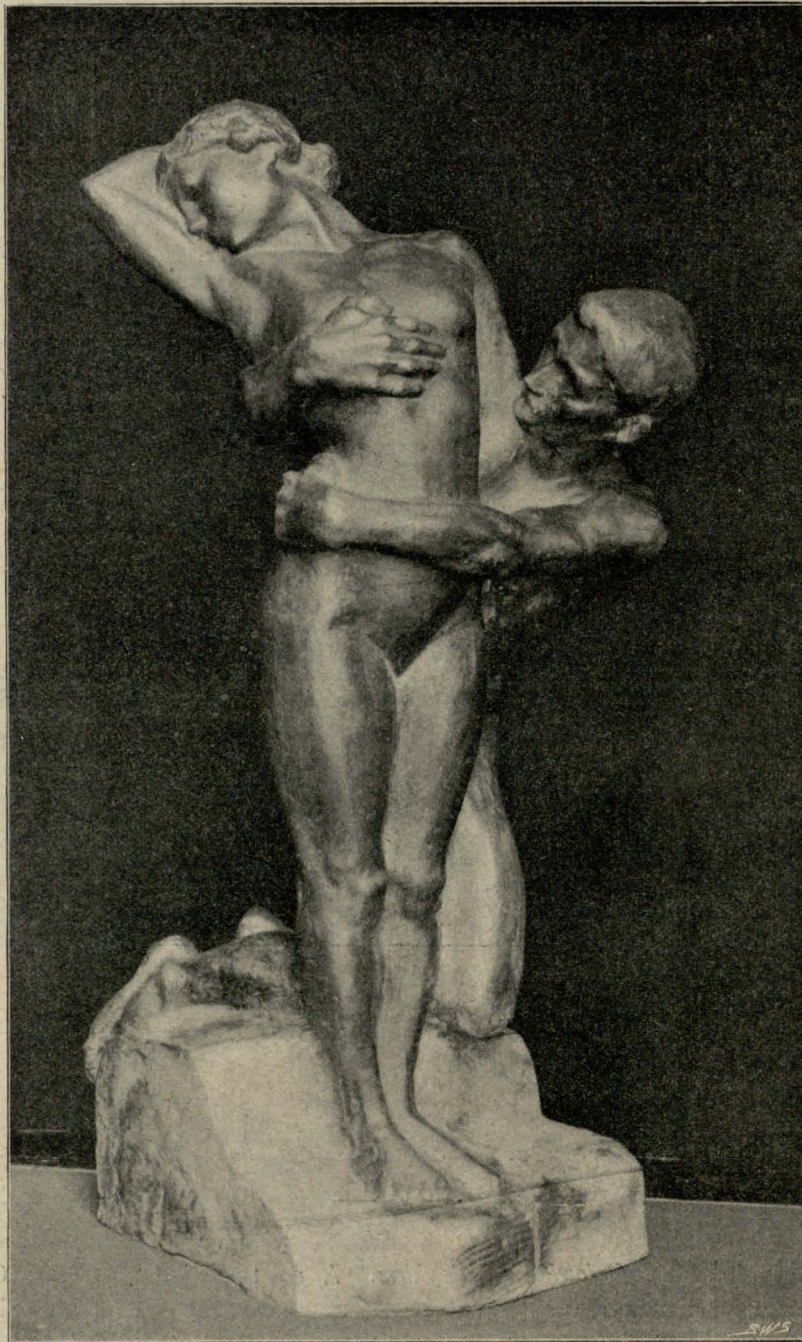
Dopiero o dziewiątej z rana obudził Kazimierza przytłumiony huk, powtarzający się w równych odstępach czasu: to w sąsiedniej jaskini uczono się strzelać z brauningów. Poczł wilgotne zimno i usiadł na twardym i kolącym posłaniu, a gdy przetarł zbolale oczy, znowu zobaczył ognisko, przy którym, wśród dymu gryzącego, siedziało kilku ludzi, przeważnie młodych, bez zarostu. Jeden gotował wodę w garnku, drugi łątał buty, trzeci suszył brudne onuczki, czwarty z równie brudnej koszuli wytrząsał w ogień robactwo.

— Dzień dobry!...—rzekł Świrski, zbliżywszy się do ogniska.

Wszyscy obejrżeli się, ale tylko łątacz butów coś odmrunknął. Kazimierz wzruszył ramionami i wyszedł na polankę. Gdy odetchnął czystym powietrzem, zrobiło mu się

rzeświej i weselej. Zajrzał do jaskini na prawo i zobaczył gromadkę, która pod dozorem Starki uczyła się strzelać. W jaskini na lewo, w paru niewielkich kociołkach dwaj brodacze, z pozawijanymi rękawami brudnych koszul, gotowali żywność. Zdaleka dostrzegł Dziewiątkę, który z trzema ludźmi skrył się w krzakach: oczywiście rozstawiał warty.

— Może pan naczelnik herbaty pozwoli?...—usłyszał znajomy głos.



RZEŻBA E. WITTIGA Z SALONU WIOSENNEGO W PARYŻU.

— Naczelnikiem nie jestem, tylko kolega, a o herbatę proszę—odpowiedział Świrski uradowany, gdyż w zapraszającym poznał nocnego towarzysza Litwina. Był to szatyn z twarzą zarośniętą, z niebieskimi, zapadniętymi oczyma, prawie obdarty. Ale twarz miał tak uczciwą, że Kazimierz od razu nabrał do niego zaufania.

— Szkoda, że nie nocowałem obok pana!—rzekł Kazimierz.

— A co, może chcieli okraść?... Tu i takie się trafiają... Jeżeli kolega-naczelnik chce, złodziej znajdzie się, ale... kapitan... każe go powiesić.

— Powiesić?... za kradzież?...

— U nas tak, ale i to niewiele pomaga. Kto urodził się złodziejem, tego sznu-

rek nie odstraszy, ani patryotyzm nie wyleczy; tak samo, jak ze szczura nie robi się zająca... To też my unikamy takich jęgomocności i trzymamy się trochę osobno.

— Jacy wy?...—spytał Kazimierz.

Litwin machnął ręką i poszedł naprzód. Po chwili Świrski spostrzegł między krzakami jeszcze jedną jaskinię. Kiedy zbliżali się tam, Litwin zapytał:

— A jak chce się przezwać kolega-naczelnik, bo tu każdy ma przezwisko... Bezpieczniej!... Naprzykład ja—nazywam się Pogończyk...

— A ja... No, niech będzie—Samotnik...—odpowiedział Świrski...

— Smętna nazwa!... Ale między nami niema się bardzo czem weselić...

W jaskini siedziało kilkunastu ludzi, z których jeden mówił, lecz nagle przerwał, zobaczywszy wchodzących. Litwin zaprezentował Świrskiego, obecni podnieśli ręce do czapek, a gdy Świrski i Pogończyk usiedli na gałęziach, ktoś odezwał się:

— Mówcie dalej, towarzyszu Janie... Może i goście zechcą posłuchać...

W odpowiedzi na to pochylił się, jakby pytając o pozwolenie, człowiek młody, niewysoki, w okularach, z twarzą dziwnie łagodną. Pomyślał, zatarł ręce i począł w dalszym ciągu:

— ...Cierpimy głód, chłód, odzienie zlatuje z nas, nie mamy dachu nad głową...

— Także biedny był Jezus Chrystus i jego uczniowie...—wtrącił Litwin.

— ...Ale czy lepiej się powodzi naszym towarzyszom - robociarzom, którzy nie mają roboty, albo tym, którzy siedzą w więzieniu?... Robociarze, pozbawieni pracy, ich żony, ich dzieci cierpią naprzorno; ale my cierpimy po to, ażeby zdobyć szczęście dla innych i dla tych z pomiędzy nas, którzy nie zginą w walce i doczekają nowych czasów...

Powiesz, bracie: wam, którzy bronią walczyć o wolność, grozi śmierć!... Tak jest: śmierć!... bo my się nie poddamy, nie złożymy broni, tylko zginie my; bo my, walcząc za wolność, już nie wdziejemy na siebie drugi raz tych kajdan, któreśmy zrzucili... Ale cóż to jest śmierć?... Twardy sen... A który z was, towarzysze, nie pragnie, nie pożąda choćby i dziś snu twardego? Kto nie jest zbiedzony, zmęczony, nawet zbolaty?...

— Prawda!...—wtrącił głos.

— Tylko świni i durnie boją się śmierci...

(DCN)

Nie zapala u siebie światła i przy blasku księżycy kładzie się, paląc nerwowo papieros za papierosem. Hydra trwogi przed ohydłą chorobą ogarnęła go z całą mocą. Poprzednio Ama zaklinała ją tem, że była jeszcze dla niego daleka. Dziś zbliżeniem się swoim nie jest już w stanie zażegnać upiora. Sadowski czuje do niej żal za to, co się stało.

— Gdy pragnąłem jej, gdy zdawała mi się niedościgłą, nie myślałem o tem... o tem... o tej strasznej jakiejś doli, która może mnie spotkać. A teraz co!... co?...

Z jakąś nienawiścią patrzy na podłogę. Niżej o piętro jest ta kobieta, która mogła go ocalać jeszcze czas jakiś i sama dobrowolnie zerwała ten urok, jaki miała nad nim.

Zrozumiał, że garnął się do niej jedynie dla tego powodu.

— Aby uczynić sobie z niej tarczę... a teraz co? co?

Księżyc skrył się za chmury, i zupełna prawie ciemność kłębamii wpłynęła do pokoju. W tej ciemni groza, uciskająca serce Sadowskiego, rosła.

— Tabes, tabes — powtarzał, rwąc bezsilnie prześciera-dło, które zdawało mu się ciężyc na nogach.

— Ona jedna... mogła... i po co ona? po co?

Wicher zaszumiał, i gałęzie róż szemrały po oknach.

— Po co?

Usiadł na łóżku.

— Trzeba to jakoś skończyć. Ale jak? jak? Nie mogę zrozumieć, co to za rodzaj kobiety. Mówi tak mało o sobie. Umie tylko słuchać. A gdy się odezwie, to także zajęta jedynie kimś innym i jego cierpieniem.

A przecież miała tak mało instynktu. Zniweczyła wszystko! teraz co?... Nie chcę jej być nic dłużny. Kwiaty, może drobiazg jaki. Nie obrazi się chyba... Pojadę do Wiednia jutro, sam. Jakiś brelok, może złote serduszko na łańcuszku, teraz panie to noszą. Zobaczę.

Z coraz czarniejszą rozpaczą rzucił się na poduszki.

— Tak się to kończy, a mogło być dla mnie szczęściem, odtrącającem zmyry i straszne widma. Jezu! Jezu! Dlaczego te kobiety nie wiedzą, nie czują, w czym leży ich potęga?

V.

Nazajutrz pojechał sam do Wiednia. Wymknął się niepostrzeżenie. Był bardzo

zgnębiony i zdenerwowany. Jakby jakaś druga postać chodziła za nim krok w krok, potrącała go lekko.

Przytem myśl całą opanowały najczarniejsze przeczucia co do stanu jego zdrowia. Puściwszy cugle mózgowi, nie potrafił opa-

całe jej wzięcie się to dowodzi. Kupię jej jakiś ładny drobiazg. Oцени moje serce.

Przechodził właśnie mimo sklepu, gdzie znajdowały się damskie torbeczki.

— O! kupię jej torbeczkę z zegarkiem. To znów nie jest byle co. W każdym razie jest zegarek. A potem miała na taką torbeczkę ochotę.

Wstąpił do sklepu. Wybrał ładną, napozór solidną, białą skórzaną torbeczkę. Na rożku był umieszczony śliczny, miniaturowy zegarek, ozdobiony w rodzaj wianuszka z imitacji brylantów.

— Bardzo eleganckiel!...— wieszował sobie Sadowski. — I kosztuje trzydzieści pięć guldów. Na więcej zdobyć się nie jestem w stanie.

Prędko powrócił na kolej. Jadąc, postanowił wyjechać jak najprędzej.

— Kuracya mi nie pomaga, zaplątałem się w romans, szczęściem jeszcze, że mam do czynienia z taką jakąś słodką kobietą. A to mogło wypaść Bóg wie co!

Aż zachnął się sam na siebie, zaszywając się w swój egoizm starokawalerski, jak w skorupę.

— Oj ty stary ośle! — poczęstował się z całą szczerością kogoś pewnego, że ten „poczęstowany“ nie przyśle mu za to świadków.

Lecz, gdy dojechał do stacyjki i wysiadł z wagonu, całą pewnością siebie, jaką przywiózł wraz z torebką z Wiednia, gdzie zginęła.

Oto na peronie, wśród obramowania winogrodu, w złotych plamach słonecznych, ujrzał Amę, oczekującą na niego, białą, śliczną i słodką.

Po raz pierwszy przeraził się jej, choć uśmiechała się do niego rozkosznie i miło.

— Gdziez to? gdziez to beze mnie? — spytała, ujmując go pod ramię.

— Byłem w Wiedniu.

— Widzę, ale po co?

— Za... sprawunkami.

— Pokaż, co sobie kupiłeś?

Zebrał się na odwagę, choć równocześnie mówił sobie, że ta torbeczka jest śmiesznie małym darem wobec królewskiego daru ciała tej kobiety, którego dotknięcie lekkie, a wyraźne czuł tak dokładnie, idąc tuż przy niej.

— Nie sobie... ale... komuś.

— Komu?

— Amie.



RZEŻBA E. WITTIGA, Z SALONU WIOSENNEGO W PARYŻU.

nować ich. Drżąc cały, włóczył się po Kernerstrasse i z wysiłkiem przypatrywał się wystawom jubilerskim, odczytywał ceny i odchodził niezdecydowany.

— Nie mogę wydawać dużo pieniędzy — myślał — tabetycy długo żyją, będę może potrzebował jeszcze wiele. Zostać pół trupem i być w nędzy to byłoby zanadto.

Roześmiał się gorzko; szybko odszedł od wystawy, na której rzędem leżały serduszka, przyozdobione drogimi kamieniami.

— Nie mogę... to nie na moją kieszeń — rozumował dalej — a zresztą o cóż chodzi właściwie, o pamiątkę, nie o rzecz wartościową. Nawet onaby się obraziła za jakiś cenny prezent. Przecież nie jest kokotką.



PORTRET P. H. (z wystawy „Zera” w Wiedniu)

WOJCIECH KOSSAK

— O! mnie? po co?

Tak szczerze wymówiła te słowa i, stanawszy na środku gościńca, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

— Tak... chciałem... na pamiątkę...

— Jakto?

— No... chwaliłaś kiedyś taką torbeczkę z zegarkiem... więc...

— Al...

Ściągnęła brwi i zaczęła iść pośpiesznie w stronę pawilonu.

— Obraziła się—pomyślał—masz dyable kaftan. Jeszcze więcej warta, niż myślałem.

Doszli wreszcie do domu i weszli na piętro. Otworzyła drzwi od swego pokoju i rzekła z prostotą:

— Wejź!

Wszedł za nią i nie wiedział, co począć z tą nieszczęsną torbeczką. Trzymał ją zapakowaną w pudełko, bibułki i owiazaną różową tasiemką.

Dzień był ponury. Woń róż była prawie dusząca w powietrzu.

Ama zdjęła kapelusz i położyła go na komodzie.

Zdawała się chwilę wahać, wreszcie zbliżyła się do wciąż stojącego Sadowskiego.

— No—wyrzekła z całą pieściwą słodyczą—proszę dać już tę torbeczkę. Przyjmuję wyjątkowo. Ale proszę pieniędzy na drobiazgi nie rozrzucać. Gdy już będziemy po ślubie, to ja troszkę cugli skrócę. Troszeczkę. Trzeba będzie plan wytrzymać.

Mówiła słodko, powoli, monotownie. Śliczny uśmiech igrał dokoła jej ust. Tylko źrenice miała jakby mętne, jakby niespokojne, a ręce pokryły się potem, jak u kogoś, kto stawia wiele na jedną kartę.

On aż cofnął się o jeden krok. Jakby kto zerwał mu z oczów zasłonę. Przejrzał w jednej chwili szereg minionych dni.

Dążyła do... ołtarza.

A! tędy była droga tej... słodkiej.

Wyprostował się, jakby gotując się do odparcia napaści straszego wroga.

— Po ślubie?—powtórzył.

Wróciła mu cała odwaga. Przyciął się. Ustawiał baterie, obliczał broń. Wieczysta walka kobiety z mężczyzną występowała w tej chwili brutalnie i w całej nagości.

— Ja.. żenić się nie mogłem!—wyrzucił przez zaciśnięte zęby. (DN)



ZDZISŁAW DĘBICKI:

Świątynia leśna.

W drzew ciemnym korytarzu, gdzie mrok
wieczny mieszka,

Jest wązka, tajemnicza, wijąca się ścieżka...

Tamtędy, uciekając od spieki południa,
Gdy wieś się czasu żniwa doszczętnie wyludnia,
Chodzę, wsłuchany w pogwar liści starych buków,
Splecionych ponade mną w kształt świątynnych

I zdaje mi się nieraz, że te leśne nawy łuków,
Milszym są Bogu tumem, niż przepych jaskrawy
Pysznych katedr, wzniesionych geniuszem

człowieka—

Tam Sztuka ma przybytek i na Boga czeka,
Jak sarkofag, w kosztownym wykuty marmurze,

Tu nie sztuka, lecz prym dan wspaniałej Naturze:
Drzewa szumią, jak organ, a w gęstwinie liści

Wiesza się blask słoneczny i płonie ogniściej,
Niż lampa, w alabastrze misternie rzezana

Zbożną ręką artysty... Tu schylam kolana

I w podziwie się korzę, czujny na głos duszy,
Co milczeniem swem woła, że w tej leśnej głuszy

Więcej Boga i więcej tajemnic Stworzenia,

Niż w gmachach, budowanych z cegły

i z kamienia...



FRAGMENT PRACOWNI WŁODZIMIERZA TETMAJERA W BRONOWICACH POD KRAKOWEM.

ARTUR OPPMAN:

U TETMAJERA

WSPOMNIENIE Z BRONOWIC.

W pogodny, słoneczny dzień lipcowy jechałem z rodziną końmi z Ojcowa do Krakowa. Przepudne widoki, zmieniające się ustawicznie, a zawsze równie piękne, wynagradzały nam sownie niewygody kołowej podróży, skały, porośnięte lasem, dziwaczne, o fantastycznych kształtach, wznosiły się ku modremu niebu, jak ruiny gotyckich opactw, jak sfinksy, jak kolumny, czy obeliski. Konie, przywykłe do dróg tutejszych, wyboistych i karkołomnych, szły lekkim kłusikiem, a myśmy radowali się słońcem i pogodą, o które w tej polskiej Szwajcaryi dość trudno.

Oto się kończą ojcowskie złomy skalne, zaczarowane zamczyska, tryumfalne bramy i dzikie, samotne olbrzymy, czuwające na straży skamieniałego świata dziwotworów.

Wjeżdżamy na wyniosłą płaszczynę, z której, jak niebyszała dekorację na jakiejś nadludzkiej gigantycznej scenie, widać monarszy, legendowy Kraków. Pokazujemy dzieciom: kościół Panny Maryi, Wawel, Katedrę, kopiec Kościuszki, i ogarnia nas wszystkich dziwne wzruszenie, jakie przenika serce, kiedy się patrzy na coś bardzo dawnego, bardzo świętego, co jest jakby drogą pamiątką rodzinną dla całego kraju, bez względu na kolory słupów granicznych i na fikcyjne podziały jednego, wielkiego szczepu.

A za Krakowem piętczą się w mgłę siennej niebosiężne Tatry. Nito zastygłe ogromne fale jakiegoś baśniowego pra-morza, nito zaziemskie wizye nie oglądanych lądów, cią-

gną mnie nieprzeparcie—i, zda się, pożeglowała myśl do tej krainy orłów, płynących nad srebrnymi od śniegu szczyty, pożeglowała, aby oderwać się od ziemi i spojrzeć na mały świat z wyżyny górskiej i z wyżyny ducha.

Od przykomórka Szyce z tak zwanej polskiej drogi konie skręcają na szosę równą, gładką, szeroką, wysadzoną z obu stron



Włodzimierz Tetmajer z synem.

brzozami, wierzby i topolami. Narazie Kraków ginie z oczu, a natomiast przepiękny, bogaty, nawskroś rodzimy krajobraz krakowski roztacza się przed nami w bujnej, łykliwej zieleni drzew i traw, w złocie dostających zbóż, w sadach jabłoni, grusz i wisien, w ogródkach malw, nasturcyi, słoneczników, w chatkach, posytych słomą, a malowanych, jak kartony z winietami Wyspiańskiego, w Bożych Mękach, kapliczkach i figurach, i z tym wesołym, niefrasobliwym, barwistym krakowskim ludem, który oto wita nas serdecznie a przyjacielsko słowem pozdrowienia starego i uśmiechem życzliwym.

Jadą wielkie, drabiniaste wozy, w tęgie czwórki zaprzęgnięte, wyładowane snopami wysoko, a na snopach siedzą gospodarze siwi a dostojni, krzepkie parobki z minami Głowackich i piękne, jak kwiaty, dziewczyny. Urodziwy, śmiały, szlachetny to lud, a strój kolorowy, zgrany, harmonijny dodaje mu wdzięku i krasy.

I gdym się tak przyglądał tym chłopom, których dziadowie i pradziadowie ochoczo szli na harmaty, zapaly płonące przygaszając czapką czerwoną, błysnęła mi myśl szczęśliwa: odwiedzę raz jeszcze Tetmajera.

Bo jakże nie miał mi się przypomnieć ów niezrównany malarz krakowskiego ludu, ów poeta barw, rzucający słoneczne obrazy, pełne czaru, bo pełne najistotniejszej prawdy, ów zapalony marzyciel, tworzący sobie własny swój, odrębny, szczeropolski świat w swym

bronowickim dworku, ów wreszcie szlachecki, marszałkowski syn ze świeżą tradycją ojca-ułana z pod znaku Chłopickich i Skrzyneckich, Włodzimierz Tetmajer, który zeszedł do ludu i zżył się z ludem, bo odczuł w nim najszlachetniejszą, najczystsą, najszczerzej polską krew: krew Piastów-kołodziejów-królów i dawnych, najstarszych władcyk tej ziemi.

„Do Bronowic, do pana Tetmajera!”—wołam do woźnicy, a że pana Tetmajera znają tu wszyscy, tedy skręca mój Piotrek znów na boczną drogę i wiezie nas, świadom dobrze, gdzie jest ów zaciszny kącik artysty, oddalony od gwarnego świata blichtru, plotek i złośliwości ludzkich.

Mam kłopot: jestem z żoną i dziećmi; zwalić się tak w piątkę do dworku pana Włodzimierza, czy to wypada?

Ale żona i dzieciaki pragną z całej duszy poznać poetę-malarza i jego rodzinę, a przytem obaczyć ów dom, gdzie odbywało się „Wesele”, odetchnąć atmosferą górnej sztuki i jeszcze raz: 5-ty czy 6-ty odczytać arcytwór zgasłego pieśniarza, zaznajomiwszy się wprzód z „gospodarzem” i „gospodynią.”

Mam kłopot tedy, lecz wspomniałem na serdeczność, prostotę, szczerłość i otwartość artysty—i jedziemy śmiało.

Jakoż, gdym wstrzymał bryczkę opodał, a sam skoczyłem do znanego mi dworku, gdym, pozdrowiony kordyjalnie, opowiedział się, iż nie sam jestem, gościnnie a poprostu, jakby ich znał od dawien dawna, powitał moich pan Włodzimierz i poprowadził do domu.

W drodze mignęła nam pocziwa, świeża twarzyczka, figlarne oczy, płowa czuprynka i czerwony kabat, mignęła i znikła.

To Kazek, najstarszy synek artysty, dziewięcioletni „koniarz”, co wymknął się ze stajni obaczyć nieznanymi gości, lecz wrócił tam natychmiast i jał znowu „opatrywać” konie, z żyłką atawistyczną ułańskiego wnuka.

Przedstawiamy się pani Tetmajerowej, zapoznajemy z pannami. Niech mi tu wolno będzie powiedzieć odrazu: rzadko, niezmiernie rzadko spotykałem w życiu tak miłe, tak sympatyczne, tak ujmująco szczerze, a zarazem pełne wytwornej, wrodzonej dystynkcyi postaci. Bo najwykwintniejszą dystynkcyą w życiu jest niezaprzeczenie szlachetna prostota, tak jak prostota jest najwyższym stopniem doskonałości artystycznej.

W saloniku—przypomnijcie go z „Wesela”— pachnie przeszłością, poezją i sztuką. Na jednej ścianie broń rodzinna: pistolety, szable, ładownice i własna dwururka artysty, na innych ścianach portrety familijne, na kominku taroświeckie świeczniki,



Włodzimierz Tetmajer z rodziną.

kilka starodawnych sprzętów przemawia głosem z przed 30-go roku.

Rozmawiamy o sprawach domowych; pani Tetmajerowa przeszła świeżo ciężką chorobę: tężca. Dzięki Bogu, jest już zdrowa zupełnie, osłabiona tylko jeszcze nieco.

Mówimy o wszystkim potrosze: o dzieciach, o malarstwie, o Ojcowie, skąd przyjechaliśmy właśnie. Pogawędka nie wymuszona, serdeczna, rzekłbym: sąsiedzka.

Bo doprawdy, to są ludzie, z którymi, choćby się na dwóch krańcach szerokiej Polski mieszkało, musisz się czuć bliskim i związanym serdecznymi węzły, jeśli masz w sobie serce czujące, jakich serca, i duszę, do ich duszy choć trochę podobną.

Sprowadzono Kazka i pobiegł z moimi chłopcami na jabłka. Panie z panienkami pozostały we dworze, ja zaś z panem Włodzimierzem powędrowaliśmy do pracowni, która stoi wśród dużego ogrodu, niby dwór opuszczony, niby lamus staroświecki.

I tam, w tej wielkiej izbie, pełnej obrazów rozpoczętych, podmalowanych, wykończonych, widzi się dopiero, jak jest szeroka skala twórczości Tetmajera, widzi się jego duszę w całej pełni.

Oto tryptyk „Raławice”, dzieło, nad którym artysta pracuje właśnie z gorącym zapalem, z ekstatycznym podniesieniem serca. Część pierwsza: na placu wiejskim żegnają się parobcy z rodzinami i dziewczuchami, barwnymi, jak maki. Niema też, ni szlochów, przeciwnie: rozradowanie promienieje z wesołych, acz poważnych twarzy, a z głębi wali tłum uzbrojonych krakusów, których wiedzie pyszna figura agitatora z „Kuźnicy” Kołatajowskiej, patrioty z czasów dyrektoriatu, eleganckiego, zapalnego, rozwichrzonego; pełno słońca, pełno powietrza, pełno wyczonego świetnie nastroju. Część druga: atak na armaty; impet rwący, jak burza, brawura kawalerska, moc nieokiełznana, szal bojowy. Część trzecia: pobojowisko. Noc miesięczna, trupy. Kościuszko przed frontem grenadye-

rów krakowskich ściska Bartosza i oficerem go mianuje. Obok Madaliński.

Dzieło pełne polotu, siły, głębi myślowej, dzieło, które nowym laurem ozdobi skronie znakomitego artysty-obywatela.

Oglądam inne obrazy i wstydę się poprostu chwalić. Cóż ja o tych rzeczach powiedzieć mogę? Banalne powinshawania i wykrzykniki nie prześlą mi przez usta, ściskam tylko gorąco, gorąco rękę pana Włodzimierza—i wiem, że mu to zupełnie wystarczy. Odczuwamy się i rozumiemy bez zdawkowych frazesów.

„Zmierzch”, znany czytelnikom *Tygodnika*, w pracowni inną miał nazwę: „Marsz Skrzyneckiego”. To obraz z życia artysty: gdy mu ciężko na duszy, gdy marna powszedniość dni dzisiejszych przytłacza mu skrzydła, wtedy córka najstarsza gra ojcu o szarej godzinie tego marsza, przy którego dźwiękach dziad jej szarżował na armaty.

W zadumie stałem przed obrazami, i żal mi było rozstawać się z nimi, tak jak mi trudno było pomyśleć, że rozejdziemy się oto, tak blizcy sobie myślą i uczuciem, i niewiadomo, kiedy ujrzemy się znowu.

A takby się chciało gawędzić z panem Włodzimierzem i snuć krwawo-złote pasmo wspomnień z czasów, kiedy to grały trąbki, błyskały szable, a życie ludzkie zabijała kula, nie te codzienne ukłucia i zgryzoty, które torturują tych, co nie są tylko „zjadaczami chleba”.

Dziś, kiedy w domu u siebie siedzę wieczorem w kółku rodzinnem, mówimy często, ach! jak często o tym dworku bronowickim i o jego serdecznych mieszkańcach. I to wspomnienie wakacyjne, dające bladą, niewyraźną sylwetkę artysty i człowieka, chciałbym zakończyć, jak jaki list staroświecki, szeregiem pozdrowień i życzeń.

Ale wolę poprostu powiedzieć: ściskam cię najserdeczniej, drogi panie Włodzimierzu, pani ręce całuję, a panienkom i chłopcom przypominam się; gdy zaś Bóg nam pozwoli doczekać szczęśliwie lata, to wpadniemy znów do was na odświeżenie serc, na pogawędkę ciepłą, na zbratanie się jeszcze silniejsze, jak do kogoś z bardzo blizkich i bardzo kochanych.

ZŁOTE LISTKI.

...Nie wiem, co szybsze nad myśl niezgonioną,
Nad serce pocziwe gorętsze?
Co bardziej smutniejsze nad młodość straconą,
Nad pracę i miłość co świętsze?..

T. LENARTOWICZ: „Wiecznie to samo”.

WŚRÓD TATRZAŃSKICH GÓRALI.*)

Z drzeniem serca wjechałem w granice Polski... Typowy sarmacki krajobraz zamajaczył przede mną. Słońce sypało tysiące brylantowych skier na melancholijną dolinę, tonącą wśród powodzi różnobarwnych kwiatów i traw, a za nią chylił się stary kędzierzawy las, splatając wierzchołki rozkołysanych drzew z sinymi obłokami nieba. Gdzieniedzie bielili się rozsypane stada, strzeżone przez pastuchów, wygrywających tęskne melodie na fujarkach, a hen na krańcach rozłożonego firmamentu widniały pasma gór, nurzając swoje wyże w oparach fioletowej mgły. Z utęsknieniem spoglądałem ku nim, gdyż tam miał być kres mojej podróży, wśród uro-



Jędrrek. Rys. Władysław Benda.

czych Tatr, w spokoju i ciszy, zdala od zgiełku i gwaru współczesnej cywilizacji Nowego Świata.

Przyjechawszy wreszcie do Kościeliska, oddałem się pod opiekę długowłosemu chłopcu, który zajął się wyeksperymentowaniem moich bagaży i wyszukaniem mieszkania. Wkrótce znalazłem się już u siebie, w malowniczo położonej góralskiej chacie, przed którą w niewielkim oddaleniu wspaniale zarysowywał się granitowy Gewont, oblepiony dokoła liczną rodziną mniejszych swoich współbraci. Chata położona była na stoku góry, tak, że doskonale chroniła od silnych podmuchów halnego wichru, który w momentach rozigrania się zbyt może się dać we znaki.

Zamieszkałem wśród posiadłości Jana Nazioma Stopki, typowego tatrzańskiego gazdy. Współczesna kultura rolna nie cieszyła się, jak widać, uznaniem u mojego gospodarza, gdyż cały arsenał jego narzędzi roboczych składał się z najprymitywniejszych okazów, a urządzenie zabudowań gospodarskich przypominało i wewnątrz i zewnątrz biblijną arkę Noego.

Szczególnością zabytkiem tej bardzo zamierzonej prymitywności były tak zwane żarna, t. j. dwa kamienie, z których jeden wklęsły, a drugi wypukły przy obracaniu się miły ziarno na mąkę. Zresztą kultura rolna nie może czynić szybkich postępów wśród góralskich, tak jak wśród innych grup ludności polskiej, ponieważ głównym zajęciem w Tatrach jest pasterstwo. To też prawie w każdym miejscu na dolinie przesuwały się bezustannie, jak fauny i nimfy, młode dziewczęta i chłopcy, doglądając pasących się stad, wśród których owce należą do najulubieńszych i najbardziej uprzywilejowanych zwierząt domowych.

Wesołe górskie okrzyki pastuchów i pastuszek, gra na fujarce, chóralne śpiewy, tysięcznym echem odbijające się od skalnych zboczy, ciężkie, przerażające odgłosy spadających w przepaście głazów i złomów, wszystko jakgdyby układało się w jakieś cudowne, tajemne misteryja Tatr.

Bardzo często przed moimi oknami, wracając z doliny, przechodziła z pieśnią na ustach młoda piękna góralka. Była to Ulana, córka sąsiada. Miała około szesnastu lat, duże błękitne oczy, obfite jasne blond,

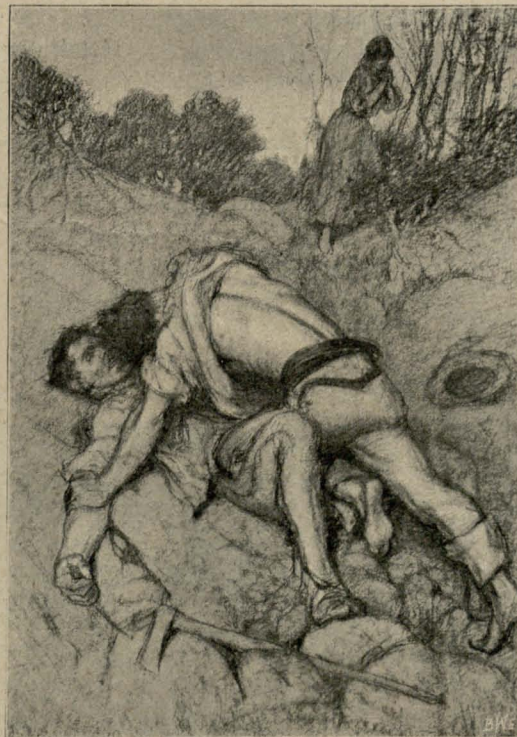
zaplecione w warkocz włozy i zgrabną o subtelnych liniach figurę—słowem, wszystko to, co najbardziej uwydatnia piękno w kobiecie. Był to wogóle wspaniały typ Słowianki, rosłej i silnej, na którą dość było spojrzeć, aby powiedzieć, że młodość, zdrowie i energia złączyły się tu razem. Jako dorodna córka Ewy, lubiła się stroić i rzucać zalotne spojrzenia tym, którzy ją dostrzegali.

Zazwyczaj na białej płócienniej koszuli nosiła upięszony wyszyciami gruby serdak, albo krótki niebieskawy żakiet, bardzo obciśnięty w talii i na piersiach. Krótka spódnica, szeroko puszczona u dołu, i barwna chustka, rzadziej na głowie, a częściej rzucona swobodnie na plecach i zawiązana pod szyją, dopełniała reszty prostego, a jednak malowniczego kostyumu. W dzień świąteczny za to lśniła wprost od różnokolorowych wstążek oraz kwiecica, którem upinała włozy i ubranie, a zgrabne nogi owiazywane były mocnymi skórzanymi trepkami.

Brat Ulany, Jędrrek, był znowu nieodrodnym typem tatrzańskiego juhasa. Niezwykłej budowy, imponujący swoim wzrostem i rozmiarami dłoni i stopy, budził pomimowolny lęk, gdyż zdawać się mogło, że zmartwychstał jeden ze sławnych zbójników, o których tyle legend krąży pomiędzy góralskimi. Krótkie zdania, wypowiedzane szorstko i z nakazem, marsowata zwykle twarz oraz nieodstępna nigdy gruba ciupaga z toporkiem na końcu, mocno zaciśnięta w ręce, potęgowały jeszcze wrażenie.

Zbójnikiem jednak Jędrrek nie był, lecz cały czas od najmłodszych lat spędził wśród ciężkiej pracy w górach, przychodząc do domu jedynie po zapasy bryndzy i owczego sera. Mleko i masło, oraz świeże górskie powietrze tak wspaniale rozwinęły kształty jego bohaterskiej budowy, nadając mu zewnętrznie postać wymarłych praojców-zbójników. Biała koszula, spięta na szerokich piersiach guzami, wspaniały duży pas, upstrzony świecidełkami i różnymi ornamentacjami, oraz niezmiernie obciśnięte spodnie, z ozdobnymi wyszyciami u góry i szeroką srebrzystą taśmą na każdej nogawicy stanowiły zwykły strój Jędrka, który, udając się w góry, zabierał jeszcze z sobą podszyty futrem serdak dla ochrony przed podmuchami skalnego wiatru i przywiązywał trokami do nogi drewnianą tyżkę dla spożywania gotowanej strawy.

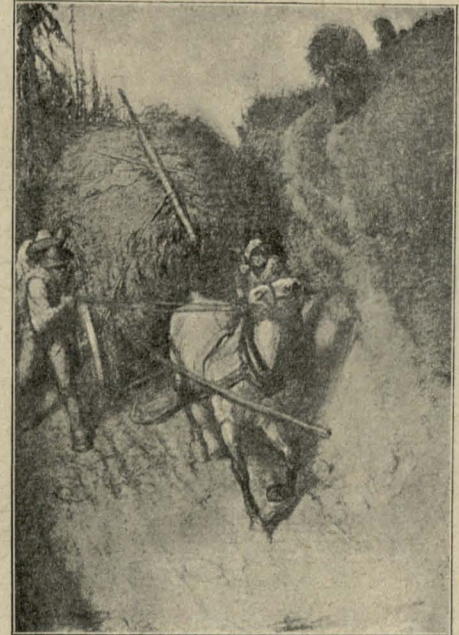
Szczególnością powodzeniem wśród góralskiej młodzieży cieszyła się urocza Sobikowa dolina, ulubione miejsce dla *rendez-vous* zakochanych, mające nawet swoją specjalną historię, gdyż góralskie są bardzo poetycznym i pełnym fantazji polskim ludem. Pewnego razu, przechodząc tędy, byłem świadkiem krwawej wal-



Rywale. Rys. Władysław Benda.

ki dwóch młodych juhasów, a należy przypuszczać, że *cherchez la femme* było jej powodem.

— A gdzie?—krzyknął jeden do drugiego, gdy zrównali się ze sobą. Słowa te były wypowiedziane naprzężonym i podnieconym głosem. Dalej już żadnej rozmowy, żadnych dysput nie było. Z obrzykiem wściekłości rzucili się na siebie i w węzowym uścisku osunęli się na murawę, staczając się po zboczach w zarośla i krzewy. Zniknęli mi z oczu zupełnie, tylko zdała słyszałem nieustający krzyk i wołanie. Pobiegłem, by zobaczyć powaśnionych. Obaj ociekali krwią i wytarzali się w mule; zwyciężony miał złamane żebro i jęczał



Zwózka siana. Rys. Władysław Benda.

z bólu. Pomogłem mu wstać i zaprowadziłem do chaty rodziców. Nie przyznał się jednak, co było rzeczywistym powodem jego nieszczęścia.

Na drugi dzień szeroko cpowiadano sobie we wsi, że wilkołak napotkał go w górach, pobił, pokrwawił i połamał żebra. Najbardziej rozwodziła się nad tem Tereska, miejscowa znachorka, bardzo popularna i poważana przez góralskie, gdyż doskonale potrafiła według zdania ludności stosować miłosny lubczyk i zażęgnąć rzucone uroki. Wogóle znachorzy i znachorki są to typowe postacie w Tatrach, napotykanie obowiązkowo w każdej wsi, przesady bowiem i zabobony nigdzie może nie zapuściły tak głęboko swoich korzeni, jak u góralskich, którzy i po dziś dzień animizują cały świat, zapełniając go mnóstwem demonów i różnych bajkowych postaci. To też podania, legendy i klechdy góralskie należą do najciekawszych i najpoetyczniejszych zabytków twórczości ludowej wogóle.

Gdy pewnego razu zachorowałem i zmuszony byłem poleżeć w łóżku, usługująca mi Maryna stanowczo zaopiniowała, że „ktoś mnie zuroczył”, i nawet wykonała całą czarodziejską ceremonię dla odpędzenia „złego”. Szepcząc jakieś kabalistyczne formułki, opalała kilkakrotnie głownie wysuszonego drzewa. Odwiedzał też mnie często mój gospodarz Stopka, który, jak zauważyłem, był doskonałym meteorologiem, gdyż na podstawie układu chmur i gwiazd nieomylnie prawie przepowiadał pogodę.

Kościelisko należy do tych góralskich wsi, skąd najwięcej ludzi emigruje do Ameryki, a zapał emigracyjny chwilami wprost przeistacza się niemal w chorobę. To też w każdym prawie domu otrzymywane są listy z Ameryki. Są jednak i takie wsie, w których bardzo mało wiedzą o drugiej półkuli ziemskiego globu. Ich ludność, dowiedziawszy się, że przyjechałem z Ameryki, często zadawała mi pytania o amerykańskim życiu i obyczajach.

*) Podług opowiadania Władysława T. Bendy w miesięczniku amerykańskim *The Century Magazine*.

Otóż i absołut miast, najprzeogromniejsze mrowisko mrowisk, stek labiryntów nigdy nieprzeznaczonych, ocean niespokojny ulic, pustynia piasku ludzkiego, Lewiatan biblijny, Moc sama w sobie.

Nie kończy się nigdzie. Skądkolwiek okiem sięgniesz, ciągle natrafiasz na pasma skaliste domów i domów, kominów, na wież wirchy, i znów domy i znów kminy i znów wieże. Wielka plama zieloności przerwie tu i owdzie na krótko szaro-

porteru i orderu opadającej podwiązki damskiej, spleenu i ostryg, Edwarda VIII i mocniejszej od niego His Majesty Miss Sunday (Niedzieli).

Astronom Herszel orzekł, że Londyn jest pod topograficznym względem pępkiem globu ziemskiego, ekonomista William Cobbett wyraził się



Poczta centralna

o nim znacznie mniej pochlebnie, że to zgniły wrzód, pasorzytnie rozrastający się na puchliźnie. Bardzo wielu innych tęgich myślicieli określało go mniej lub więcej pochlebnie; pod jednym względem jednakże muszą się choćby wbrew woli zgadzać wszyscy, t. j. pod względem: najwyższości cyfr statystycznych tego

Lewiatana miast. Nie było w dziejach i niema środowiska, któreby pochłaniało taką cyfrę wołów i taką masę baraniny, któreby tyle potrzebowało oleju i tyle nafty, tyle połykało ostryg, tyle wypalało tytoniu. Dość powiedzieć, że to-

warzystwo gazowe obliczyło, jakoby rocznie 110 milionów stóp kubicznych gazu ulatniało się w Londyn t. j. w miasto głównie *elektrycznością* oświetlone, 110 milionów stóp kubicznych; i w tem, według znanego pisma lekarskiego *Lancet*, kryje się także przyczyna ciężkawego powietrza nad Tamizą, nagminnie grasujących bólów głowy, młodości i t. p. przypadłości.

Jeżeli do tego gazu, złośliwie ulatniającego się, przysumuje się dym z 260 tysięcy przedsiębiorstw fabrycznych, swąd z jakich 30,000 autobusów, jeszcze o nie elektrycznych, ale benzynowych motorach, dalej tak przereklamowaną mgłę londyńską, t. zw. *fog*, choćby w jej łagodniejszej formie, t. zw.

mist, dalej beznadziejny już poprostu smród z bezustannie tłących się 4 milionów fajeczek, tkwiących w dzielnych szczękach wielce czcigodnych obywateli Zjednoczonych Królestw, wtedy łatwo się pojmie, że normalna funkcja oddychania nie należy tu w pewnych momentach do rzędu przyjemności.

A jednak Cezar-Londyn jest wspaniałym miastem! Istotny to Rzym prozaików, Rzym ludzi nierozmarzalnych, ludzi wytrzeźwionych, ludzi, pozbawionych mistycznego instynktu, Rzym ludzi, doczesnością się zadawałających, realną pracą uspokojonych, po ziemi twardą stopą idących, Rzym dla nie-romantyków.

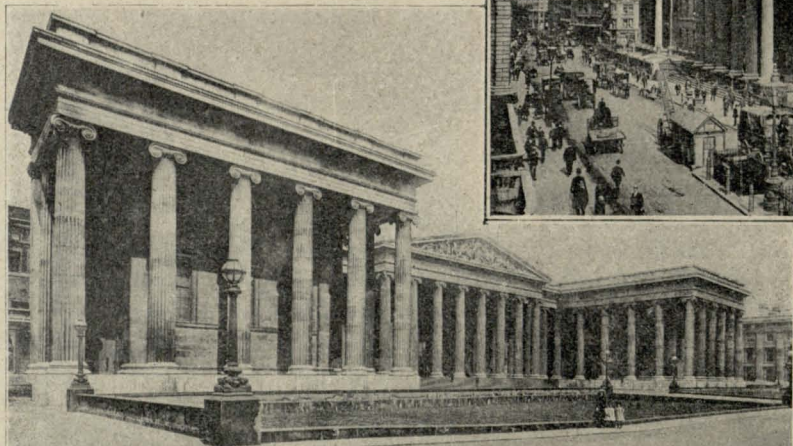
I tutaj, coprawda, masz momenty raptownie cię opadającego odczucia marności nad marnością, kiedy widzisz np. ulicą pośród wirów pojazdów, omnibusów, tramcarów, rowerów przewijający się pośpiesznie orszak żałobny z nieboszczykiem, któremu wypicie szklanki wody, czy zirytowanie się na służącego przerwało raz na zawsze dobrze zaczęte businessy. Przeważnie jednakże ni na nastroje ekklezjastyczne, ni na metafizyczne odloty czasu tu niema. Czas to pieniądz. Pieniądz to potęga. Potęga to spokój. Spokój to szczęście; tak słyszy się dokoła we fragmentach mów i rozmów urywanych. Wie się dobrze, że, gdyby ktoś głośno powiedział: Gentelmeni, pieniądz to słabość! wraz zapakowanoby go w kaftan bezpieczeństwa publicznego i odwieziono do któregoś z comfortable urządzonych Domów Ciszy. Dlatego Słowianie źle się tu czują.

Wogóle ludzie o słowiańskich rasowych duszach nie bardzo bywali zadowoleni z Zachodu i zachodniej cywilizacji; dziwna rzecz, jak się na tym punkcie nieufnej niechęci do Zachodu schodzą dwaj najwięksi geniusze XIX wieku Słowiańszczyzny, symbole narodów: Mickiewicz i Dostojewski. Pierwszy w „Księgach pielgrzymstwa“, drugi w „Pamiętniku pisarza“ z równie nieprzyjazną wzgardą wyrażają się o wielkowiejskich, materialistycznych kulturach Europy; za nimi idą z jeszcze silniejszymi wyrazami potępienia i Herzen, i Towiański, i wielu innych, szczególnie po rosyjskiej stronie liczących.

W następstwach swych były te wynurzenia reprezentacyjnych inteligencji słowiańskich więcej niż fatalne. Dziś już nie ulega wątpliwości, jak zwodnicza siła takich enuncjacji poetycznych odbiła się szkodnie na polityczno-ekonomicznej skórze społeczeństw, których dusze zbiorowe kształtowała w 19 w. w pewnej części poezja. Psychologicznie jednakże nic łatwiej wytlómaczalnego, jak słowiańskich myślicieli wydane i pisane dezilluzje, niechęć, wzgarda do Zachodu. Można je tłómaczyć sprzecznościami rasowymi oczywiście, ale można po-

prostu także i tem, że marzyciele słowiańscy o silnych religijnych instynktach przeważnie, porównyując w świecie podziału pozytywnych owoców pedantycznej fachowej pracy warunki bytu zachodnio-europejskiego z warunkami pół-barbarzyńskiej egzystencji w ojczyznach, dochodzili w bólu, w litości, żalu do momentu negowania rezultatów całej cywilizacji wogóle.

Dziwaczne i paradoksalnością chłopską epokowe i sensacyjne broszury zgrzybiałego hrabiego Toł-



Muzeum brytyjskie i kuluary parlamentu.

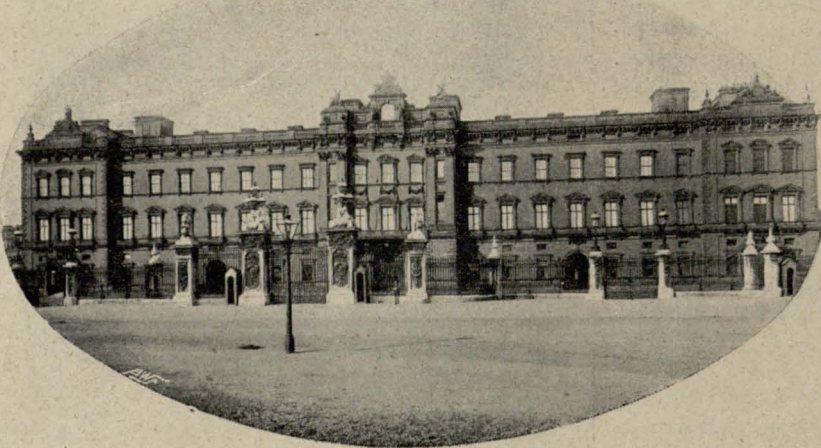
czerwono-brudną jednostajnię, ale za nią znów okazują się dal-

sze płasko-wzgórza domów i kominów, wież i domów bez końca, bez końca aż do zawrotu głowy. Na tym to kawale ziemi, zasklepionej murem i asfaltem, uważa za stosowne mieszkać sobie stale i bytować 7 milionów 260 tysięcy ludzi, t. j. istot, składających się w $\frac{1}{4}$ z wodoru, a w $\frac{3}{4}$ z soli anorganicznych, nie licząc już alkoholu... którego konsumpcja w r. 1900 wypadła po 1.18 gallona *) na główkę, a w r. 1907, dzięki „bezkarnym orgiom i oburzającym propagandom“ abstynentomonomanów już tylko 0.90 gallona na gardło.

W to też miasto bezgraniczne i bezsensowne w swej olbrzymości, w ten „gródek“, w którym katolików więcej jest, niż w Rzymie, Niemców więcej, niż w Frankfurcie czy Kolonii, policmenów tyle, co całej ludności Kalisza, dziennikarzy więcej, niż mieszkańców liczy Płock, w to miasto, w którym 37,500 żyje fachowo, nie przygodnie, nie po dyletancku! ze złodziejstwa i złodziejstwo jako swój sposób zarobkowania do ksiąg magistrackich lojalnie podaje, w to miasto uważa jeszcze za stosowne przyjeżdżać dziennie przeciętnie 120 tysięcy... gości. W tych warunkach oczywiście o żadnej parafianiszczyźnie nie może być i mowy, a popularne słowo na określenie każdego co trzeciego bliźniego: małowieszczuch, trzeba stanowczo zmienić na lokalne: snob. Ergo centrala snobów, snobs-city, snobs-metropole.

Ale to nie tylko stolica snobów, to jeszcze bowiem stolica Pickwicków i pikników, sportu i komfortu, Żaka-rozpruwacza dziewcząt i shockingu,

*) Gallon = 4,54 litra.



Pałac królewski Buckingham.

stoja, głupowate klątwy i urągania Nowemu-Yorkowi przez intelektualnego Dzingis chana Gorkija są w tym kierunku ideologii słowiańskiej etapem krańcowym, poza którym zaczyna się Roussowski powrót do natury, łażenie powrotnie na czterech nogach, ludożerstwo i troglodytyzm.

Londyn ma swego Tolstoja



Pałac Westminsterski (parlament).

w generale armii Zbawienia, w Booth'cie. Pozornie wyda się to porównanie naciągnięciem, w rzeczywistości jednakże przyszłość je potwierdzi i uzna. Sędziwy i czcigodny generał Salvationistów jest również tylko chrześcijaninem, równie w Piśmie Świętym widzi alfę i omegę etyki i praktyki, również nie uznaje całej kultury artystycznej, literackiej, politycznej, industrialnej, również przejęty jest miłością tylko maluczkich i tylko wydziedziczonych. Atoli broszury „generała” Botha są i lepiej, i inteligentniej stylistycznie pisane od broszur „chłopa” Tolstoja, w rezultatach zaś działalności obu fanatyków ewangelii zachodzi ta tylko różnica, że ośmieszony przez socjalistów i nie reklamowany przez literatów starzec z Quen-Street dokonał pozytywnie bardzo wiele, i to we wszystkich częściach świata, organizując biedę i ucząc zorganizowaną pracę, a starzec z Jasnej Polany dokonał dla swej ojczyzny negatywnie jeszcze więcej, głosząc w maskach jutrzejszych idee z przed dwóch tysięcy lat i dając ospałej rasie nowe, piękniejsze racye jej nietwórczej nadal ospałości.

W Londynie siedmiomilowym, gdzie postęp idzie siedmiomilowymi bajecznymi krokami, i dzieła niektóre wielkiego wandalisty rosyjskiego, i jego mniejszych wasalów myślowych zyskały pewną popularność, oczywiście jako literatura wyłącznie. Najostatniemu bowiem *longshoremanowi* nie przyszłoby na myśl praktycznie zacząć się stosować do wskazań dziwaczego człowieka z Jasnej Polany. Nadto cała psychika rasy anglo-saskiej przepoiła się tak dobrze Nowym Testamentem, jak i *Starym*. I może temu przepojeniu nawet zawdzięcza swą bezprzykładną wszechpotęgę, majestat niewzruszony swego autorytetu etycznego i to, że w nowoczesnym życiu wszelkie gesta Dei zaczynają dźiać się już nie per Francos, ale per Britannos. To przesiąknięcie życia duchowego obu testamentami, Nowym i Starym, i ich równoważenie się w etyce każdej jednostki, jak i wszelkich kolektywów, jest, zdaje się, kluczem historycznego, imperyalistycznego i materialnego powodzenia Anglików. W wielkim narodzie, który od ośmiu już wieków jest upełnoletniony, życie pozytywne i normalne w najmniejszej części nie jest podległe jakimkolwiek prądom czy potencjom literatury.

Pisarstwo ma swoje poczesne miejsce i solidaryzuje się bez zastrzeżeń z wolą i z każdorazowym kierunkiem narodu, co najwyżej, je krytyką czy satyrą koryguje. Stąd niesłychanie moc-

ny, ale zawsze konstruktywny wpływ na życie literatury poważnej i męskiej, stąd taki walor państwowy i społeczny niektórych książek, w których sztuka pisarza antycypowała życie i nadawała mu kierunki: starczą terminu już, nie nomina: Bacon, Szekspir, Locke, Shaftesbury, Swift, Addison, Walter-Scott, Macaulay, Carlyle, Ruskin. Kobiecego pióra powiastka „O chatce wuja Tomasza” najwalej przyczyniła się do zniesienia niewolnictwa.

Społeczeństwo z gorącą ochotnością brało się do realizowania byle twórczych, byle konstrukcyjnych marzeń i snów poetów. Najwznieściejsze, najgenialniejsze nawet dziecka nie zdołały ni na moment zbałamucić czy omamić kierującego się na drodze ku promiennej przyszłości instynktem rasy męskiego pełnoletniego narodu.

I oto na każdym kroku w tej stolicy największego na globie Imperium widać ten lojalny

i spokojny stosunek idei do życia, sztuki do czynu, jednostki do całości, literatury do pracy, teźniejszości do marzenia. Widziałeś na Trafalgar-Square przechodzący pochód pozbawionych pracy i nie mogłeś wyjść ze zdumienia, jak porządnie i przyzwoicie prezentuje się ten obecnie najgorzej „sytuowany” proletaryat, idący falangami w ośm tysięcy przeszło pod ministeryum robót publicznych. Bywałeś w garnkuchniach robotniczych, których czystość i solidarność ćmićby mogła restauracje filistrów na Kontynencie. W każdym okręgu, w każdym cyrkule napotykaś czytelnie publiczne, gdzie długi wąż ludzi wchodzi i wychodzi, by przegłędnąć wszystkie pisma codzienne. Przed mieszkaniami robotniczymi podziwiałeś ogródki, a w mieszkaniach *trzechpokojowych* czystość, skromny dostatek i form obyczajowych kategoryczne przestrzeganie. W tramwajach i omnibusach, aż do godziny 8-ej rano o połowę tańszych, nie ujrzałbyś ani jednego z pośród rankiem szarym jadących do fabryk robotników nie czytającego swego newspaperu. Widziałeś przy fabrykach *lawntennisowe place*, a dowiedziałeś się, że od roku już istnieje renta inwalidowa i że wnet już uchwalony podatek od alkoholiów całkiem ją pokryje.

Ale najbardziej człowieka ze Słowiańszczyzny poucza w Londynie tego, jakim winien być stosunek idei do rzeczywistości i literatury, antycypującej życie, do życia, godziną, wieczorem przepędzona na Mil-End-Rad w osławionym dla swej nędzy East-Endzie. Oto dwie strony z kilkunastostronicowej noweli przeciętnego całkiem pisarza, rzucone na papier całkiem bez pretensyi o ich realizację, jakież to imponujące znalazły z martwych czcionek powstanie. Z pośród drzew pięknego parku bije światło rześiste od olbrzymich okien na ulice dokoła. Prawdziwy to pałac światła, jak go kiedyś zamarzył przy biurku sir Walter.

Wszystko się stało, jak chciał Besant, i jeszcze więcej, bo takich Settlements jest już kilka w East-Endzie i gdzieindziej. Pod jednym dachem znalazły umieszczenie i imponująca powagą omal surową halla królowej na koncerty i festyny, i wielka biblioteka, i wielki ciepły magnacki ogród zimowy, i kąpielowe baseny, i halle odczytowe,

i gimnastyczne sale, i pedantycznie zaopatrzone laboratorium chemiczne, i szkoły rysunkowe na czterystu chłopców. Wszędzie jasno i szkląco, czysto a gwarno, po korytarzach śpieszą się idący sobie z kąpeli do czytelnicy robociarze... zdaleka dobiegają dźwięki wagnerowskiego Tannhäusera, a z hali odczytowej wysypuje się właśnie tłum, przeszło sześciuset ludzi liczący, takich, którzy wysłuchali sobie prelekcję o... kopalniach nafty... jak jutro wysłuchają znowu o... sile etycznej mahometanizmu ...pojutrze o Newtonie...

I tu, w tym pałacu światła, bywa, że przez całą godzinę słucha t. zw. mob, a w istocie rzeczy potężny, królobójczy i królotwórczy gmin londyński prelekcji o jednej tylko figurze z jakiegoś z dramatów Szekspira, tego właśnie Szekspira, którego, jako istotny symbol wyższej rasy, jako etap szlachetniejszego bytu i niedostępnej uprawy intelektualnej skopał swobodnie chłopski rozum salwacyonisty z Jasnej Polany.

ŚRÓD PYŁÓW NIESKOŃCZONOŚCI. 2)

Był czas, że Jowisz płonął, tak jak słońce dzisiaj, stanowiąc ośrodek własnego systemu, złożonego z 7 światów. Obecnie astronomowie przypuszczają, że jest słońcem, które utraciło wspaniałość poprzednią, słońcem, które nie ochłodziło jeszcze zupełnie i znajduje się w stanie pośrednim pomiędzy stanami, jakie istnieją na ziemi i na słońcu.

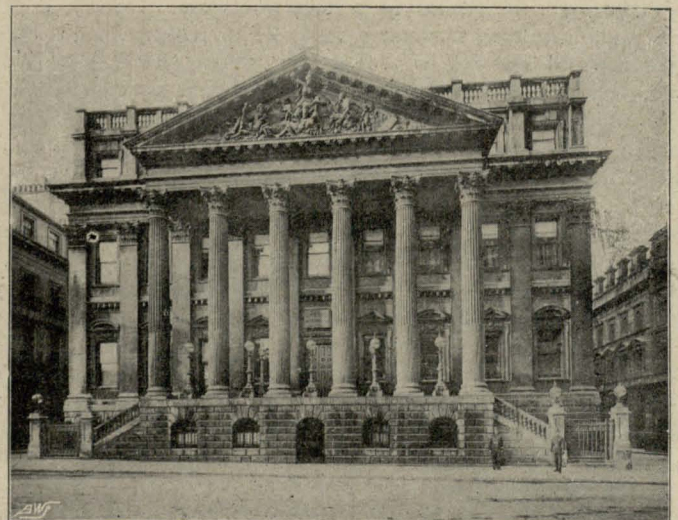
Co przedewszystkiem zwraca uwagę naszą na tym nie uporządkowanym jeszcze świecie, to szerokie pasma, podobne do prądów oceanu, sunące wzdłuż jedno drugiego z szybkością rozmaita.

Najbardziej jednak zagadkową formacją olbrzymiej planety jest stynna plama czerwona o rozmiarach, przewyższających ziemię, a widniejąca już od lat 25 na powierzchni Jowisza w strefie jego umiarkowanej. Trudno przypuścić, aby plama ta czerwona była wynikiem tylko przewrotów atmosferycznych. Stałość jej nie dopuszcza takiego przypuszczenia. Czy nie jest to raczej łąd w okresie tworzenia się, pierwsza próba ruchomej masy sferycznej do ustalenia się? Hipoteza taka, nie stanowiąc wyjaśnienia prawdopodobnego, jest co najmniej usprawiedliwiona. Zapewne życie już tam istnieje, objawiając się pod postaciami jeszcze bardzo pierwotnymi.

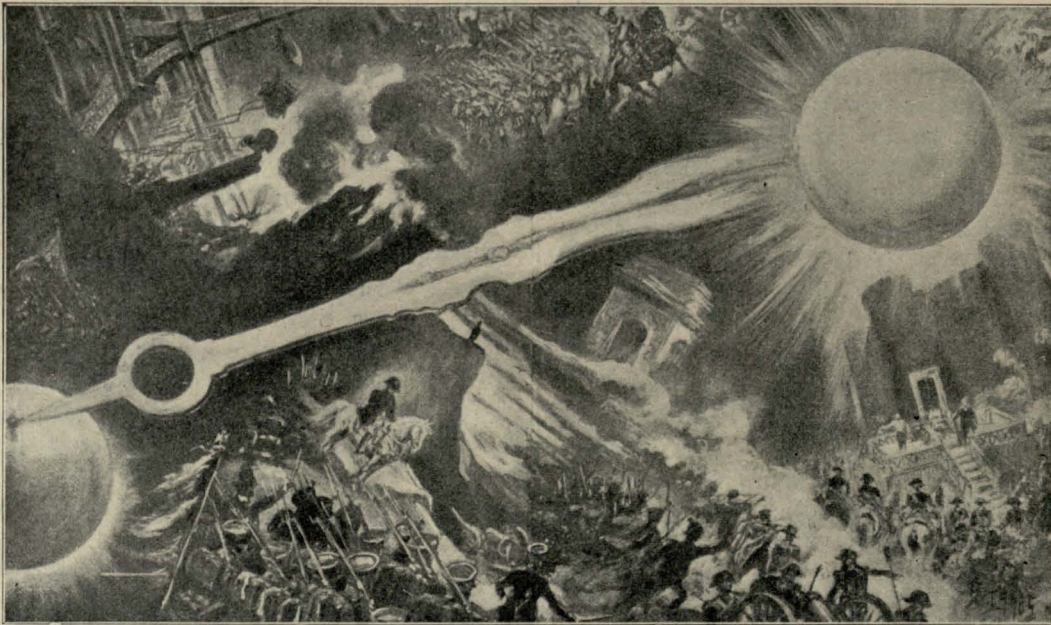
Przed opuszczeniem Jowisza nie zaniedbajmy przypatrzeć się przedziwnemu ciągowi siedmiu jego satelitów. Dwa z tych księżyców odkrył dopiero w 1905 r. astronom Perrine z obserwatorium Licka, i to nie przez obserwację bezpośrednią, lecz przy pomocy fotografii.

Przekroczmy teraz przestrzeń niemal równą tej, jaka oddziela Jowisza od ziemi, aby dosięgnąć Saturna, zawieszzonego w przestworzach w odległości mniej więcej 888 milionów mil angielskich od słońca.

Pierwszą uwagą, następującą się nam na widok tego dziwowiska naszego systemu słonecznego, jest pytanie: czy to możliwe, aby planeta, otoczona potrójnym łańcuchem pierścieni i posiadająca 10 satelitów, należała



Mansion House (rezydencja lorda majora).



CZAS I PRZESTRZEŃ. Aby wyobrazić sobie wielkość przestrzeni, dzielących gwiazdy, musimy użyć dla porównania pojęcia czasu. Tak na przykład, Kastor i Poluks potrzebują dla dokonania obrotu, jeden około drugiego, 347 lat ziemskich. Gdy więc olbrzymia wskazówka czasu obróci się raz na olbrzymim tym zegarze, odwraca się z nią razem cała karta dziejów nowoczesnych. We Francji, na przykład, to samo oko oglądałoby walki Ligi, długi szereg przejść za Ludwika XVI, narodziny i upadek Napoleona I, wojnę francusko-pruską i wystawę wszechświatową w Paryżu 1900 roku.

istotnie do tej samej rodziny światów, co Ziemia, Mars, Jowisz i inne?

Dla podziwiania w całej rozciągłości tego łuku wspaniałego, składającego się z nieskończonego mnóstwa ciał kosmicznych—prawdziwego pyłu światów—musimy przenieść się do strefy równikowej Saturna i badać niebiosa w noc pogodną, gwiazdzistą.

Cóż za widok bajeczny rozpościera się przed oczyma naszymi! Planetę oświetla przepyszny pierścień, oprócz promieni księżyców, kilka z nich bowiem widnieje zawsze nad jej widnokręgiem.

W ciągu nocy pierścienie Saturna otaczają go koroną światła, w ciągu dnia natomiast rzucają cień, tak że strefa równikowa planety pozbawiona jest działania bezpośredniego promieni słonecznych.

Nie ulega wątpliwości, że mieszkańcy Saturna mieliby daleko więcej powodów, niż my, do uważania się za panów wszechświata, jeżeli bowiem badają inne planety naszego systemu słonecznego, to nie bez podstawy mogą przypuszczać, iż życie nie istnieje na globach, tak bardzo różniących się od ich ziemi.

Widziana z tak wielkiej odległości Ziemia stanowi tylko punkcik świetlny, widoczny raz na pół roku, i to w ciągu chwil kilku albo wieczorem po zachodzie słońca, albo też zrana przed świtem.

Jeszcze krok w przestworza, a Ziemia stanie się zupełnie niewidoczną.

Odbuwamy jednak w dalszym ciągu wędrówkę naszą po niebiosach.

Daleko, bardzo daleko spostrzegamy niewyraźną sylwetkę innego świata.

Świat ten nowy to Uran, odległy od słońca o mniej więcej 1786 milionów mil angielskich. Nie mamy wszelako czasu na zabawianie się tutaj.

Tak samo musimy bez zatrzymania się przelecieć przy Neptunie, który, oddalony od słońca przeszło o 2,500 mil angielskich, znajduje się tuż u granicy naszego systemu słonecznego, tak jak my go pojmujemy obecnie.

I oto nareszcie wkraczamy zuchwale w regiony nieskończoności! Podobna do widma, rozczochrana, o ruchach wolnych, posuwa się przed oczyma naszymi kometą, wędrująca bez celu wśród nocy, nie mającej ani początku, ani też końca. Jest ona roznosicielką wiadomości dla światów rzeczywistej słonecznej z najbardziej oddalonych sfer ogromu niebios! Trochę dalej spotykamy inną kometę, jeszcze bardziej widmową, niż pierwsza, jakkolwiek mniejszą. One jedne przerywają okropną pustkę olbrzymiej, cichej przestrzeni, dzieląc nas od najbliższej gwiazdy.

Lecz być może, iż, gdybyśmy mieli czas, to mogliśmy tam znaleźć jeszcze szczątki gwiazd rozpadłych, których nazwy nawet wykreślono już dawno z ksiąg życia. Jedynie to pozostałości światów zmarłych, krążące wśród nocy wiecznej.

Nie marudźmy wszelako w pustyni tej dłużej, niż potrzeba koniecznie. Bo o to już z daleka uwagę naszą zwraca nowe słońce, oświetlające niebiosa nowe.

Jest to Alfa, jedna z gwiazd gwiazdozbioru, zna-

nego nam pod nazwą Centaura. Śpieszmy, aby jej dosięgnąć.

Gwiazdę tę, gorejącą i płonąca, dzieli od ziemi przestrzeń, przewyższająca 275.000 razy przestrzeń, dzielącą Ziemię od słońca. Innymi słowy, przestrzeń, dzieląca Alfę od ziemi, wynosi 25 bilionów mil angielskich.

Zbliżywszy się do tego systemu, spostrzegamy, że różni się on znacznie od naszego. Zamiast, mianowicie, posiadać jedno słońce, jak to, które nas oświetla, posiada on dwa słońca bliźniacze, obracające się jedno około drugiego w odległości 1875 milionów mil, przy czym każdy obrót dokonywa się w ciągu 84 lat. Nie ulega wątpliwości, że dokoła każdej z tych żagwi płonących obracają się planety lenne, dla których dwa te słońca stanowią źródło podwójne urodzajności i życia.

Co za nadzwyczajne odmiany pór roku muszą istnieć pod wpływem tej dziwnej kombinacji słońc. Co za dziwne objawy przyrody na światach, pławiących się w podwójnym świetle słonecznym!

System ten słoneczny nie jest jedynym w swoim rodzaju wśród mrowia gwiazd, tworzących wszechświat, istnieją bowiem także systemy o trzech, a nawet i czterech słońcach, w których wiele połyskuje najrozmaitszymi barwami.

Zwróćmy przez chwilę uwagę na gwiazdę Gamma w gwiazdozbiorze Andromedy. Gammę składa gwiazda o barwie pomarańczowej, połączona z gwiazdą szmaragdowo-zieloną, posiadającą małego towarzysza koloru ciemno-niebieskiego. Jakże oryginalną grę światła musi wytwarzać to połączenie trzech słońc, z których każde jest zabarwione inaczej! Czy może wyobraźnia wytworzyć sobie pojęcie o nadzwyczajnych kształtach istnień, powstających kolejno na planetach, skąpanych w tych promieniach o barwach różnych?

Ruchy ciał niebieskich zdają się być obliczone na to, aby wykazać całą znikomość zdarzeń ziemskich, tak ważnych w oczach naszych.

Przypatrzmy się, na przykład, w noc gwiazdzistą różnym gwiazdozbiomom Zodiaku, jak Plejadom, podobnym do archipelagu wśród nieskończoności, czerwonej gwiazdzie Byka, Aldebaranowi, Bliźniętom, Kastorowi i Poluksowi. A następnie weźmy teleskop i skierujmy go ku Kastorowi. Ujrzymy wówczas nie jedną, lecz dwie gwiazdy obok siebie, połyskujące, jak brylanty. Są to wistocie dwa słońca, obracające się jedno około drugiego, a tak odległe od siebie, że dokonanie jednego obrotu wymaga 347 lat!

Przed dwoma laty położenie obu tych gwiazd, jedna względem drugiej, było takie, jak 1559 r. Okres zatem, który upłynął pomiędzy powyższymi datami, stanowił zupełny rok gwiazdowy tego systemu słonecznego.

Jeżeli zaś skierujemy wzrok dalej, ku gwiazdozbiorowi Perseusza, to znajdziemy tam niezwykle ciekawą gwiazdę, nazwaną Algolem. I oto stoimy wobec systemu słonecznego wręcz przeciwnego systemowi Kastora. Tu bowiem około gwiazdy nadzwyczaj błyszczącej

obraca się z niezmierną szybkością gwiazda ciemna, dokonywając całego obrotu w ciągu 2 dni, 20 godzin, 48 minut i 1 sekundy, wobec czego blask Algola ulega znacznym zmianom, satelita bowiem jego zaciemnia go częściowo co 2 dni.

Polećmy jednak dalej w nieskończoność, gdzie jeszcze większe cuda nas oczekują.

W locie naszym mijamy niejedno wybrzeże słoneczne, niejedną pustynię ciemną, podążając od słońca do słońca, od systemu do systemu. I wciąż wyłaniają się nowe ogniska życia, pociągając dalej i dalej.

Oto Syryusz, najwspanialsza gwiazda niebios naszych, płynąca w przestworzach w oddaleniu 57,500 bilionów mil angielskich. Widziane z takiej odległości, słońce nasze stanowiłoby gwiazdkę maleńką, zaledwie widoczną dla gołego oka.

Rzucmy okiem w przechodzie na niektóre z tych słońc odległych, których światło potrzebuje 10, 20, 50, 100, a nawet, w pewnych razach, tysiący i milionów lat, aby nas dosięgnąć.

Istnieją promienie światła, które doszły do nas dopiero dzisiaj, a które znajdowały się w drodze do nas wówczas jeszcze, gdy cała Europa stanowiła jeden las olbrzymi, zaludniony zwierzem dzikim, a niedostępny dla człowieka, wyłaniającego się dopiero ze stanu zwierzęcego. Inne zaś promienie wyruszyły w drogę ku nam wówczas, gdy współczesny Homerowi Hezyod utrzymywał, że kowadło Wulkana zmierzyło odległość pomiędzy niebem a piekłem, gdyż potrzebowało 9 dni i 9 nocy, aby spaść z nieba na ziemię, drugie zaś tyle, aby dosięgnąć krainy potępieńców.

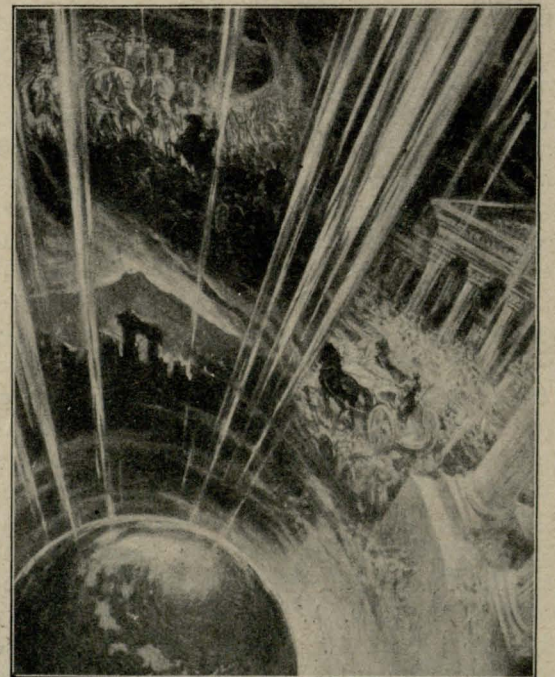
Nigdy wistocie nie widzimy gwiazd takimi, jakimi są w chwili, gdy spoglądamy na nie. Widzimy je bowiem takimi, jakimi były w chwili wystąpienia promieni, dosięgających nas obecnie. Dzieje wszystkich światów wędrują tak wiecznie w przestworach.

Każda gwiazda, dodajmy jeszcze, jest słońcem, błyszczącym własnym światłem, o tysiące, a czasem i o miliony razy jaśniejszym od globu naszego. Pomimo to słońca te są tak liczne, tak gęsto skupione na mapach i fotografiach niebios, że oczom naszym wydają się prawdziwym pyłem gwiazdzistym.

W najodleglejszych głębinach przestrzeni odnajdujemy wielkie zwarte gromady gwiazd i mgławic. Ale i one nawet mogłyby służyć nam za stopień tylko do osiągnięcia innych jeszcze skupień olbrzymich.

To też ludzkość nasza i jej dzieje podobne są do maleńkiego mrowiska, a największe nawet podróże nasze astronomiczne nie są w stanie wyprowadzić nas choćby tylko poza próg nieskończoności.

S. B.



GDYBY NIEKTÓRE GWIAZDY MOGŁY WIDZIEĆ ZIEMIĘ. Tak olbrzymia przestrzeń dzieli niektóre gwiazdy od Ziemi, że promienie światła potrzebują kilku lat, a nawet kilku wieków, aby ją przebyć. Jeżeli zatem mieszkańcy gwiazd takich posiadają metody udoskonalone dla obserwowania nas, to widzą obecnie na powierzchni Ziemi epizody z dziejów starożytnych, jak np. wyścigi wozów lub bitwę legionów rzymskich na równinach Azji, uwidocznione na ilustracji powyższej.

PAMIĘCI SŁOWACKIEGO

Z POWODU WMUROWANIA TABLICY, JEGO CZCI POŚWIĘCONEJ.

„W dniu 15 lutego 1829 roku—pisze w Pamiętniku swoim Słowacki—wyjechałem z Krzemieńca sankami, pocztą, i we dwa dni stanąłem w Warszawie.“

Przyjazd przeto Słowackiego po raz pierwszy do naszego miasta przypada na dzień 17 lutego 1829 roku. Zajeżdżał do oficera Stejna, mieszkającego za miastem, a następnie, poznawszy się przez Odyńca z Hrehorowiczem, Litwinem, zamieszkał u niego przez dwa miesiące. Odyniec bowiem, uprzedzony przez panią Bécu o przyjeździe syna, postarał się umieścić go u swego przyjaciela.

Tadeusz Hrehorowicz, b. student uniwersytetu wileńskiego, nazwany w listach Odyńca „Tadeulem“, był podówczas pierwszym sekretarzem w Sekcji dochodów stałych Komisji skarbu, lecz w aktach archiwalnych tejże Komisji nie znajdujemy żadnej wzmianki, gdzie wtedy mieszkał i ugościł u siebie przyszłego autora „Lilli Wenedy“. Natomiast w „Przewodniku warszawskim“ na rok 1829, wydawanym przez Natana Glücksberga, księgarza i typografa królewsko-warszawskiego uniwersytetu, znajdujemy wskazane mieszkanie tegoż Hrehorowicza na ulicy Leszno pod Nr 721. Dom ten, oznaczony obecnie Nr 31 (policyjnym), był pierwszym siedliskiem poety za jego pobytu w Warszawie, o czym dotychczas nikomu wiadomem nie było.

Niedługo jednak pod wspólnym dachem przebywał tam z Hrehorowiczem Słowacki. Coraz smutniejszy—jak zwierza się w „Pamiętniku“—i czując potrzebę samotności, przeniósł się na ulicę Miodową do domu Paca, o czym już donosi przybranej siostrze swojej, Olesii Bécu, w liście z Warszawy, z dnia 3/15 kwietnia 1829 roku.

Pałac ten, niegdyś siedziba Czartoryskich, należał wówczas do Ludwika hr. Paca, który przystąpił do gruntownej jego odbudowy w głębi obszernego dziedzińca i wystawił od ulicy Miodowej, według planu Henryka Marconiego, dwa gmachy, złączone wspaniałą arkadą, ozdobioną na froncie płaskorzeźbą Ludwika Kaufmana, ucznia Canovy.

Pomieszczona poniżej rycina podaje nam ówczesny wygląd pałacu Paca, według rzadkiego dziś szkicu architektonicznego jego twórcy, Henryka Marconiego.

Pałac ten, jak pisze w Pamiętnikach swoich Bogusława z Dąbrowskich Mańkowska, jedyna córka generała Dąbrowskiego, był podówczas prawdziwym falansterem wyższego towarzystwa. Wszyscy się tam znali i odwiedzali wzajemnie, wszyscy chodzili po ogródku, który był w samym środku głównego dziedzińca. Może ten ogródek i wspaniała perspektywa pałacu od ulicy Miodowej, bez wątpienia najpiękniejsza w Warszawie, skłoniła Słowackiego do zamieszkania w tym domu. Znajomości jednak nie zrobił tam żadnych i całe lato, z powodu wyjazdu Hrehorowicza i Odyńca, spędził w samotności, w usposobieniu melancholijnym, do którego przyłączyła się febra, co dwa tygodnie nowym i coraz silniejszym nawrotem wracająca.

Gdzie w pałacu Paca mieszkał Słowacki, dziś oznaczyć niepodobna. Musiało mu tam jednak być niedogodnie, lub zbyt daleko od biura Komisji Skarbu, na ulicy Rymarskiej, gdzie odbywał bezpłatną aplikację, gdyż po upływie pięciu miesięcy przeniósł się na Elektoralną, do domu, oznaczonego Nr 755 (obecnie ten sam numer hipoteczny).

Posesyę tę odnajdujemy już w pierwszej drukowanej w r. 1784 Taryfie m. Warszawy.

W taryfach tych przyjęto nomenklaturę taką, że litera P., umieszczona tuż przy numerze, oznaczała: pałac lub pałacyk, ze sztachetami lub parterowymi budynkami



Dom, w którym Słowacki mieszkał, z tablicą pamiątkową nad bramą przy ulicy Elektoralnej Nr 20.

i z wjazdem od frontu. Budynki mieszkalne mieściły się w głębi, zwykle między dziedzińcem a ogrodem. Litera K oznaczała kamienicę, dom murowaną frontową, a litera D dworek drewniany. Dom Nr. 755 oznaczono w pierwszej taryfie miasta w ten sposób: „P. W. JX. Wicherta K. Inf.“, co znaczy: pałac wielbego Imci księdza Wicherta, kantora inflanckiego. Objaśnienie to znajduje potwierdzenie w taryfie z 1786 r., gdzie już powiedziano: „Pałacyk z wjazd(em). W. J. X. Wicherta kantora Infant“. Wjazd oznaczał kratę żelazną lub budynki parterowe.

Zmieniając właścicieli, „dom z ogrodem“, jak czytamy w księdze hipotecznej Nr. 755, przeszedł w r. 1819 na własność Jana (Johanna) Samuela Kauschke, w którego rodzinie przez długie pozostawał lata. Następnie właścicielem domu tego był znany bankier warszawski, Gustaw Landau. W r. 1858 nabył go Ignacy Rapel. Po jego zgonie posiadłość tę otrzymała w spadku siostra, Cecylia Cymermanowa, a po jej śmierci przeszła na własność syna, dra med. Ludwika Cymermana, obecnego właściciela.

Jest to oczywiście budowla pałacowa z XVIII wieku, podtrzymywana murowanymi szkarpami i z wjazdem od frontu. Gmach główny z antresolą i piętrem mieścił się wewnątrz dziedzińca i bardzo obszernego niegdyś ogrodu. W domu zaś frontowym, który następnie bankier Landau przebudował i nadał mu jego dzisiejszą postać, były, jak zwykle w dawnych pałacach, parterowe budynki, zapewne mieszkania dla służby i oficyalistów.

Po przeróbce budynków frontowych, główny gmach tego niegdyś pałacu stał się oficyną poprzeczną, wśród dwóch dziedzińców. Dziś jednak jeszcze odróżnić można pierwotne przeznaczenie tej budowli i jej charakter.

Z mieszkania w tym domu, który należał wówczas do Niemca Kauschkego, poeta był bardzo zadowolony i chwali je w liście do Olesii, której o wszystkich sprawach swoich dość drobiazgowo donosi. „Muszę Ci donieść — pisze — że moje teraźniejsze apartamenty są mi bardzo miłe z wielu względów: naprzód mam okna długie do ziemi z galerijkami i często, kiedy księżyc świeci, opieram się o nie, i zdaje mi się, że jestem w Wilnie i z Tobą jeszcze gadam: pierwsze piętro i bardzo ludna ulica przypominają mi bardzo ulicę Zamkową. Nadto ostatni pokój, w którym sam pracuję, mały, zielono pomalowany, z maleńkim piecem, którego się z pokoju pali, podoba mi się nieskończenie i dotychczas ciągle w nim siedzę“.

Słowacki zajmował tam mieszkanie, jak pisze, na I piętrze, nie licząc zapewne antresoli, a więc na

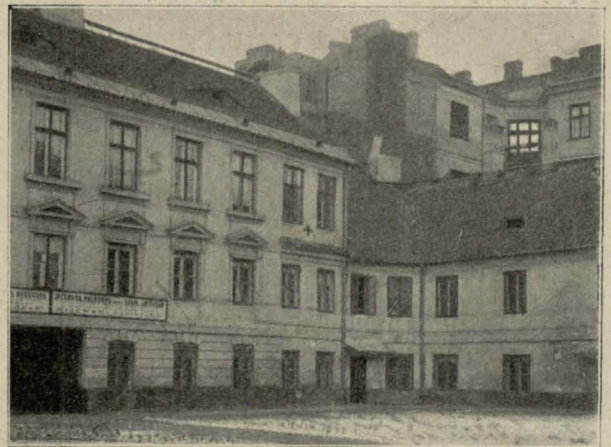
obecnym drugim piętrze. Domniemanie to stwierdza okoliczność, że pokoje na pierwszym piętrze niższe są, niż na drugim, okna zaś długie z galerijkami znajdowały się nie na pierwszym, lecz na drugim piętrze.

Według objaśnień dra Cymermana, który ten fakt dobrze pamięta, okna te usunął dopiero i przerobił według nowoczesnych wymagań, z dużymi szybami, Ignacy Rapel. P. Cymerman pamięta również, że w domu tym przed 30 przeszło laty mieszkał Wincenty Prokopowicz, niegdyś pomocnik naczelnego prokuratora, zaś od r. 1873 członek przy IX departamencie Senatu Rządzącego, który często wyjawiał swą radość z tego powodu, że w swym obszerniejszym lokalu zajmuje i te pokoje, w których niegdyś mieszkał Słowacki...

Jest to rzeczą bardzo prawdopodobną, gdyż zmarły przed dwudziestu kilku laty Prokopowicz mógł o tem dowiedzieć się tylko od kolegów biurowych Słowackiego, wiadomość bowiem o mieszkaniu na Elektoralnej czerpiemy z listu poety do Aleksandry Bécu z d. 27 października 1829 r., ogłoszonego dopiero w r. 1898 w „Księdze Pamiątkowej na uczenie setnej rocznicy Adama Mickiewicza“ (Warszawa, nakład Bronisława Natanson).

Idąc za tą wskazówką, dzięki uprzejmym objaśnieniom dra Cymermana, odnalazłem w sieni po prawej stronie ów zajmowany przez Słowackiego „apartament“, do którego na drugie piętro wązkie i dość strome prowadzą schody... Skoro poeta wspomina w liście czy to żartem, czy seryo o apartamencie i mały pokój nazywa „ostatnim“, to należy przyjąć, że zajmował tam przynajmniej trzy pokoje. Jako znajdujemy tam taki apartamentik.

Wchodzi się najprzód do pokoju, który obecnie jest kuchnią, a mógł nią też być dla Słowackiego—lub zwykłym pokojem. Prowadzi on do pokoju o dwóch oknach od dziedzińca. W pokoju tym pozostało jeszcze obramowanie kominka, który nie zbyt dobrze musiał funkcję swoją spełniać i dlatego istniał piecyk,



Podwórze domu Nr 20 przy ulicy Elektoralnej, dwa okna, oznaczone krzyżkiem, zajmował Słowacki.

kióry się z pokoju tego palił. Ostatni wreszcie pokój, w którym najchętniej przebywać i pracować lubił Słowacki, jest o jednym oknie, które wychodziło na ogród, będący niezawodnie wielkim powabem tego mieszkania. Dziś nawet, po zabraniu wiele miejsca pod budynki, zawiera 11,000 łokci kwadratowych. Jeszcze Landau utrzymywał go bardzo starannie i z wielkim kosztem.

Taki jest tego mieszkania opis i rozkład, który do dziś przetrwał bez zmiany, zgodny w szczegółach z opisem, podanym przez poetę. Tylko zamiast małego piecyka stoi w temże samym miejscu zwykłych rozmiarów piec nowy, a zamiast okien do ziemi z galerijkami—zwykłe okna nowoczesne. To przeto, a nie żadne inne mieszkanie, mógł zajmować Słowacki, innego bowiem takiego lokalu w domu tym niema. Te właśnie pokoje i kilka innych przyległych zajmował następnie Prokopowicz.

W tych murach, tak dla Słowackiego przyjemnych, już we wrześniu powstał *Mindowe*, w następnym roku *Mnich*, *Jan Bielecki*, *Marya Stuart*, napisana w przeciągu miesiąca, i *Arab*.

Tu go zaskoczyły wypadki listopadowe i pod wpływem tej doniosłej chwili historycznej napisał nadzwyczaj popularny wówczas *Hymn do Bogarodzicy*,



Dawny pałac Paca, mieszkanie Słowackiego z roku 1829. (Obecnie Sąd Okręgowy).

Kulig, Pieśń legionu litewskiego i począł tworzyć powieść o hetmanie *Żmiji*.

Dnia 8 marca 1831 r. pożegnał to mieszkanie, opuszczając na zawsze Warszawę i śliczny kraj, do którego, jak pisał, wiedziony smutnem i trafnem przeczuciem, nigdy już nie miał powrócić...

* * *

Ten dom przy ulicy Elektoralfiej, oznaczony nr. 20 policyjnym, Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości, a raczej jego „Komisyja Starej Warszawy“, postanowiło upamiętnić wobec zbliżającej się setnej rocznicy urodzin genialnego poety.

Upamiętnienie to odbyło się przez wmurowanie na froncie białej marmurowej tablicy z napisem:

„W tym domu mieszkał w latach 1829 — 1831 Juliusz Słowacki“.

U dołu mieści się monogram z trzech liter: T. O. Z., kładziony na wszystkich tablicach, przez Towarzystwo rzeczono wmurowanych.

Są one skromne, lecz praktyczne i trwałe, obmyślane według jednego typu, ze względu na nasze warunki miejscowe i klimatyczne.

Uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablicy odbyła się w dniu 4 listopada r. b., o godzinie 10 rano. Poświęcenia dokonał ks. kanonik Skimborowicz, członek zarządu Towarzystwa opieki nad zabytkami, wobec poetów, literatów, przedstawicieli prasy, sztuki dramatycznej, delegatów korporacji artystycznych i społecznych, oraz członków zarządu Towarzystwa opieki nad zabytkami przeszłości, przy licznych udziałach publiczności. Poczem w mieszkaniu p. Wincentego Biskupskiego, adwokata przysięgłego, spisano protokół, który zachowany będzie w aktach Towarzystwa.

LEOPOLD MÉYET.

Na świętego Marcina

Z CYKLU: „WIEŚ“.

Stanowczo upadają tradycje rycerskie.

Gruby utylitaryzm bierze górę wszędzie, dowodem choćby dzieje... gęsi.

Dzieje gęsi bez przenośni. Zastrzegam się co do tego najsolennie i w imię słuszności, i prawdy rzeczowej.

Będą to dzieje gęsi tej prawdziwej, a nie „gąski“ miejskiej lub wiejskiej, zwłaszcza że przeciw używaniu tej nazwy zawsze najenergiczniej protestowałem.

Można zatracić swój charakter rycerski, a nie być jeszcze ba-i-bardzo!

Tak się ma i z gęsią. Do kapitolńskiego bohaterstwa już niezdolna, zachowała jednak piękną kartę



Na zagładę.

w dziejach wiedzy meteorologicznej i składa nieraz życie na ołtarzu... nauki.

I jeszcze jedno sprostowanie w utartych pojęciach ogółu.

Świat, świat złośliwy wyobraża sobie zazwyczaj uczoność w chudym ascetycznym cieple, w wyszarzanej odzieży, bardzo często z tabakierką w ręku...

Tymczasem gęsi, nieskalanej białości i co najtwardsze tylko, poświęcają się... nauce.

Tak też było i tym razem.

Patrycyuszka rzymska po pra-pra-babkach, ujrzała jednak światło dzienne w izbie mazowieckiej pod przypiekiem.

A że od pierwszych dni stykała się z ludem na pastwisku, więc, mimo arystokratycznego pochodzenia, przyłgnęła całym sercem do partyi... ludowej.

I dobrze jej z tem było!

Śpiewała jej z wiosny Maryś bosa, przygrywał na ligawce Janek, podtykała, co mogła, stara Margola.

Tak było aż po żniwny czas, po kłuski.

Dobrze jej się działo, poszła w pierze.

Ale już przy pierwszym podskubie poznała, jak wszelkie szczęście kruche jest, poznała boleść życia!



Św. Marcin z cyklu: „Boży Rok“ Piotra Stachiewicza.

Też same pocziwe ręce Margoline pozbawiły jej białej sukienki z piór i puchu.

I odtąd skończyły się piękne dni gęsiego Aranjezu...

Pozornie było jej znowu dobrze, nawet lepiej. Siedziała teraz w chlewiku, jadła i owies, i nawet kłuski z mąki zagniatane.

Ale wiosniane pieśni Marysine, ale ligawkowe granie Janka przepadły!

Zgodziła się jednak z przeznaczeniem, zwłaszcza że słyszała, że jej przeznaczone drogę... n a u k o w ą .

Nie wiedziała, że nauka u nas tylko ciernie rodzi, a śmierć przedwczesną spraw a d z i e może.

Marzyła o wszystkim, tylko nie o tarpejskiej skale!



Aleja parku w Dębinkach, lipy, sadzone ręką Jana III.

Aliści na tydzień przed świętym Marcinem w wóleckim Kapitolu-chlewiku zjawił się Brennus! Fartuch biały miał i takąż czapkę i miecz olbrzymi dzierżył w ręku.

Zagęgała na trwogę.

Nikt nie przybył z pomocą...

Wstążeczka czerwona krwi spłynęła po białej drodze Rzymianki.

Gallowie w postaci Marysi porwali ciało i unieśli do... kuchni.

Oj ta Marysia! Z wiosną śpiewała jej tak rzewnie, a teraz siedzi nad nieboszczką bez żalu, skubie i marzy:

— Ej! żeby tak mnie, sierocie, choć z dziesięć takich gąsek... Byłaby pierzyna... Możeby się kto trafił... bo zawdy dziewczynie z pierzynką o chłopca łatwiej, niż przez...

Okrutna Maryś!

Nie na takie „requiem“ zasłużyła gąska biała.

Dobrze, że nie czuje po śmierci, bo inaczej zapłakałaby pewnie z bólu!

Zawiesili biedną gąskę w spiżarni głową na dół, żeby skruszała, jak w kostnicy.

Wisi w nagości swej i wisi, tylko czasem gospościa dworska zajrzy, pomaca i łyka ślinkę, szepcząc:

— Tęgo się upasa!

Taka to wdzięczność ludzka!

Aż nadszedł święty Marcin. Czy na białym, czy na czarnym koniu przyjechał, dla nieboszczki jedno.

Już ją ani lekkie, ani ciężkie zimy nie obchodzą.

Natarli ją solą i majerankiem. Brennus-kucharz nadział na rożen... Piecze, aż smalec kapie.

Jednemu smutek, drugiemu wesele.

We dworze radość:

— Będzie gęś pieczona!

Pani co trochę zagląda do kuchni, i sam pan nawet ciekawy!

I goście przyjechali.

Gadu... gadu... o tem, o owem.

Nakryli do stołu. Pani prosi... Siadają...

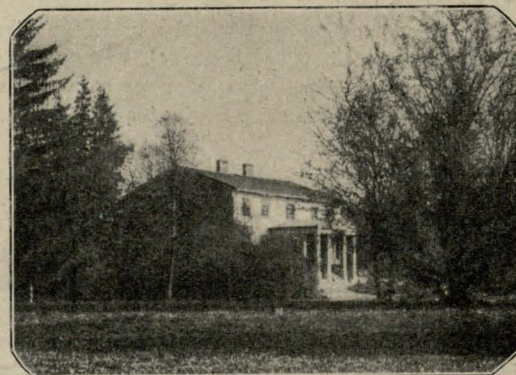
Zjedli czerninę... nie! zjedli dróbka... nie! Każdy na coś oczekuje...

Nareszcie... Wnieśli półmisek dymiący... Aż pachnie!

Widać każdemu stworzeniu po śmierci kadzą...

Sama pani wzięła się do noża. Kraje ostrożnie, żeby kości nie naruszyć.

Temu udko, temu „romansik“, a piersi na ostatku...



Dwór polski.

Okrajała z mięsa, niesie pod światło do okna. A wszyscy za nią... Goście, pan, dzieci... nawet lokaj, nawet Maryś przez próg zaziera...

— No i jakże?...

— Zdaje się, że będziemy mieli śnieżną zimę!

— Doprawdy? Pokażno! Istotnie, kość biała... tylko gdzieś czarne plamy. Dobrze, że oziminy nie wybują. Mogłyby wyprzeć.

Oglądają wszyscy...

I znowu gadu, gadu... O różnych zimach... A o tych, co były, minęły... najwięcej!

I dziwno... Pokój zaciszny, ciepły... obiad był dobry, a... wzdychają.

Swoją drogą „dzieje gęsi“ dowodzą upadku rycerskich tradycji.

Kierunek utylitarny bierze górę nawet w... nauce.

K. LASKOWSKI.



Humorysta-jubilat.

Jest nim Władysław Buchner (Ner-Buch), postać znana i popularna. Przed 25 laty zaczął „sypać“ w piśmie humorystycznych, w *Kolcach*, *Kuryerze Świątecznym* i w *Musze*—dowcipy, wiersze ulotne i koncepty, cięte, pełne humoru i soli atyckiej. Od lat 20 redaguje *Muchę*, która, zawsze prowadzona starannie i rwąca się do lotu z więzów cenzuralnych, w ostatnich czasach, od r. 1905, zajęła stanowisko pierwszorzędnego



Władysław Buchner.

i bez żadnej przesady może być postawiona w szeregu najlepszych pism satyryczno-politycznych w Europie.

Niewyczerpana pod względem humoru, werwy i ciętości satyrycznej, *Mucha* stała się „zwierciadłem życia“ i dla przyszłego historyka będzie nieocenionym dokumentem do charakterystyki czasów obecnych.

Redaktor-jubilat posiada nadzwyczajną pomysłowość i łatwość pisania; istotnie, syple dowcipami, w przeciągu bowiem 25-lecia swej pracy humorystyczno-satyrycznej napisał ich **26.000!** Jeżeli obliczymy każdy dowcip przeciętnie na pięć wierszy, wyniesie to 130.000 wierszy czyli 4,300 stron, biorąc po 30 wierszy na stronicę. Cała ta masa humoru, zebrana razem, dałaby 14 tomów in 8-vo po 26 arkuszy w tomie.

Zdziwiająca ta płodność nie jest wyczerpana do dna, jeżeli się zważy, że jubileuszowy redaktor jubileuszowej *Muchy* ma dopiero lat 48 i według wszelkiego prawdopodobieństwa, ze względu na swą siłę fizyczną może doczekać brylantowych godów z Muzą śmiechu.

Oprócz wydawanej co tydzień *Muchy*, wydał Buchner dwa zbiory satyryczno-polityczne: „Roku pierwszego konstytucyj“ (r. 1906) i „Roku drugiego konstytucyj“ (r. 1907). Książki te, obok krótkich i jędrnych urywków oraz niezmiernie dowcipnych bajek Buchnera, zawierają dłuższe utwory satyryczne utalentowanego Krogulca (Antoniego Orłowskiego), od lat 3 współredaktora *Muchy*, autora wstępnych wierszy, umieszczanych w tem piśmie i głośniejsze w całym kraju „Listów Południannikowa“.

Dwaj ci humoryści—to cały skład redakcji *Muchy*. Dopełniając się wzajemnie, nie potrzebują pomocy innych współpracowników, co zresztą wychodzi na korzyść pisma, którego każdy numer odznacza się jednolitością i doskonałą harmonią treści, formy i układu. „U obu tych pisarzy—jak się wyraził w *Kraju* W. Gomułicki—pod niefrasobliwą z pozoru wesołością znać umysły głębsze i serca czułe. I w samej rzeczy, jeden z nich (zjawisko zresztą dość częste) jest zamaskowanym lirycznym“.

Dwaj ci humoryści—to cały skład redakcji *Muchy*. Dopełniając się wzajemnie, nie potrzebują pomocy innych współpracowników, co zresztą wychodzi na korzyść pisma, którego każdy numer odznacza się jednolitością i doskonałą harmonią treści, formy i układu. „U obu tych pisarzy—jak się wyraził w *Kraju* W. Gomułicki—pod niefrasobliwą z pozoru wesołością znać umysły głębsze i serca czułe. I w samej rzeczy, jeden z nich (zjawisko zresztą dość częste) jest zamaskowanym lirycznym“.

A. ASKERC: Z najnowszej poezji słowieńskiej.

SZKIC Z PODRÓŻY
w wagonie pomiędzy
Petersburgiem a Moskwą.



A. Askerc.

Ekspres pomyka, jak
szalony,
W coupé a giorno lśnią
lampiony...

Obudził się towarzysz mój,
Pince-nez poprawił
szczerzłote,
A że gawędzić miał ochotę,
Więc rzucił mi zapytań rój:
—Do Moskwy pan? Rzecz
oczywista!

Zapewne kupiec?
— Nie, turysta...

— A może jeszcze publicysta?
— Jedno i drugie... Pierwszy raz

W stolicy byłem pośród was,
Po Petersburgu dalek mknę,
Przez Moskwę czeka mnie tourné,
Zdawna słyszałem o niej tyle,
Że chcę zabawić chociaż chwilę...
— A więc pan nie jest Rosjaninem?
— Nie, panie, chociaż Słowianinem...
— Zapewne Bulgar, Serb lub Czech?
— Słowieniec jestem...

— A to pech,
Przepraszam pana sercem całym,
O Czarnogórze zapomniałem!
— I nie to, panie...
— A, już wiem!
To pańskie gniazdo na Bałkanach,
Lecz źle, iż Turków dużo w niem,
A biedny lud wciąż, jak w kajdanach...
Wszak prawda?

— Tak, o na ten raz
Pan sobie już przypomniał nas...
— Proszę nie dziwić mi się wcale,
Rosya na wschód dąży wytrwale,
A więc Mandżurya i Buchara
Drozsze są nam, niż złudna mara
Słowianofilstwa...

Inny duch,
I co innego dzisiaj w modzie,
Zamki, co stały wciąż na lodzie,
Rozchwiały się, jak nędzny puch!—
Tu mój rozmówca zrobił gest
— Z Azyą, mój panie, handel jest,
I mieć możemy tę nadzieję,
Że trzos pieniędzmi napęcznieje.
Cóż zrobić?... Taki już jest świat.
Może cygaro—bardzo rad!

Tom. R. KWIATKOWSKI.

Na widowni politycznej.

Coraz bardziej staje się pewnym, iż zamiar zwołania konferencji międzynarodowej pozostanie w archiwum dyplomacji. Taką nieświetną przyszłość rokuje mu obecna sytuacja polityczna, która nie przestaje wikłać się nadal. Znowu cały szereg faktów i wydarzeń przyczynił się do nieoczekiwanych zwrotów w polityce, tak przykuwającej do siebie ogólną uwagę.

NIEMCY.

Cesarz Wilhelm wypuścił nową raketę polityczną...

Ostatnia rozmowa z angielskim dyplomatą, opublikowana w *Daily Telegraph*'ie, wywarła wielkie wrażenie na mocarstwach.

— Człowiek prędki, zanadto bezpośredni, lecz szczerzy—tak określali zwykle monarchę niemieckiego Angliki, dziś jednak wiara w szczerść Wilhelma została poważnie zachwiana. Wszelkie dowodzenia cesarza o przyjaznym jego stosunku do Anglii nie trafiają już do przekonania społeczeństwu angielskiemu, a w prasie przebiega wyraźny brak zaufania do *bonne foi* Wilhelma.

Wynurzenia cesarskie stały się też przedmiotem gorących dysput po całych Niemczech, budząc wśród



Na ulicach Sofii.



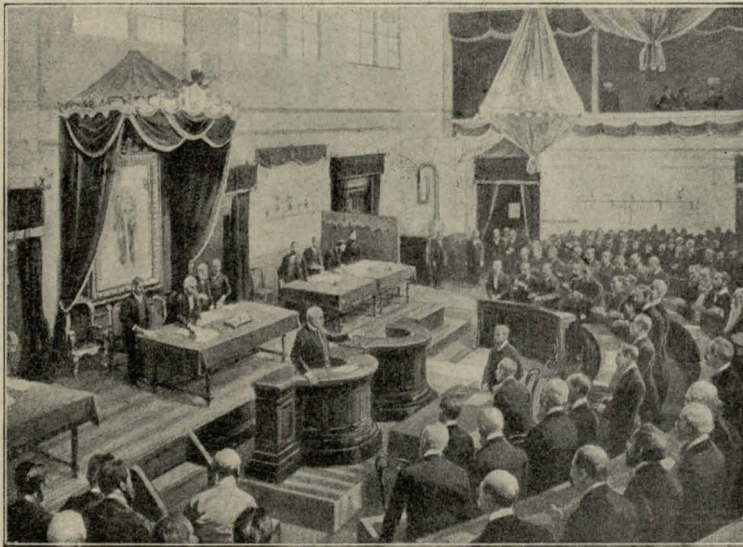
Serbski następca tronu, ks. Jerzy (oparty na szabli), opuszcza pałac w Carskiem Siolu.

ludności rozgoryczenie i żal do monarchy, a także niezadowolenie z księcia Bülowa, jako kanclerza Rzeszy.

— Do czego dążył Wilhelm, pozwalając ogłosić swoją rozmowę? Czy chciał przeszkodzić zbliżeniu się Francji z Rosją? Czy miał zamiar odwrócić uwagę Europy od półwyspu bałkańskiego? — zastanawiają się wszyscy, nie mogąc znaleźć odpowiedzi.

TURCYA.

Ciernie konstytucji tureckiej zaczynają zaznaczać się w całej pełni, budząc niepokój wśród sfer politycznych. W Konstantynopolu istnieje zakonspirowany komitet reakcyjny, przygotowujący przewrót. Pierwsza próba wykonania zamachu na nowy stan rzeczy i powrotu do *status quo* nie udała się. Zrewoltowane plu-



Posiedzenie skupczyny serbskiej po aneksji Bośni i Hercegowiny przez Austryę.

tony reakcyjnej gwardii zostały pokonane. W każdym razie zjawisko powyższe musi być brane w rachubę polityczną.

Gdyby reakcja w Turcji zaczynała brać górę nad ruchem wolnościowym, młodoturcy dla ratowania swej sytuacji musieliby zdołać się na energiczne kroki w celu zaprotektowania przeciw nowemu porządkowi rzeczy, wytworzonemu przez ogłoszenie niepodległości Bułgarii i aneksję Bośni i Hercegowiny. W tym wypadku wojna z Bułgarią byłaby prawie nieunikniona.

BULGARYA.

Jak widać z komunikatów, car i rząd w Bułgarii usposobieni są pokojowo, jednak opinia publiczna nastrojona jest wojowniczo, zarzucając nawet monarsze egoistyczną obawę przed wojną. Szczególnie za walką zbrojną są ci Bułgarzy, którzy pochodzą z Macedonii i zajmują obecnie różne urzędy w niedawno proklamowanym państwie. Radziby więc skorzystać z chwili i roz-



Utarczka wojsk rządowych z rewolucjonistami w Tabrysie.

szerzyć posiadłości dotychczasowe przez przyłączenie Macedonii.

Wogóle, jak zaznaczają korespondenci różnych pism, mało jest wśród Bułgarów przeciwników wojny, a że przytem naród jest dobrego mniemania o swoim wojsku, pragnąłby więc nanowo zaznaczyć się bohaterскими czynami.

SERBIA I CZARNOGÓRZE.

Nadzieja na pomoc większych mocarstw w przewidywanej wojnie z Austrią upada, co jednak wpływa raczej na zwiększenie nastroju wojennego wśród ludności. Przygotowania wojenne trwają w dalszym ciągu, a pod Białogrodem odbywają się próby i ćwiczenia, oraz strzelanie z nowych armat.

Ciężkie chwile przeżywa także Czarnogórze. Austria bardzo agresywnie występuje przeciw ludności serbskiej, rozciągając wzdłuż całej granicy bośniackiej wojska i nakierowując odpowiednio lufy armatnie. Czarnogórcy wzburzeni są tem bez granic.



Dalaj-Lama w pochodzie uroczystym przez stolicę Chin.

RUMUNIA.

Do rządu państw, których stanowisko też może zaważyć coś na szali w razie wojny na Bałkanach, należy Rumunia. Oprócz stałej pretensji do Rosji za odebranie po wojnie tureckiej ujścia Dunaju, obecnie daje się zauważyć pewien zwrot w opinii publicznej na niekorzyść Austrii, z którą do ostatnich czasów stosunki były zawsze przyjazne.

W razie wybuchu wojny zjawisko to może mieć bardzo pożądane następstwa dla Serbii.

PERSYA.

Wypadki na Bałkanach tak przykuły ogólną uwagę, iż mniej znacznie interesujemy się dalekim Wschodem, który również przechodzi bardzo ciekawe fazy polityczne.

Persya nadal tonie w potokach krwi, a wiarołomny szach-despota nie przestaje nękać zdziesiątkowanej lud-

ności, wciąż jeszcze nie mogąc wyzbyć się nadziei powrotu do dawnego stanu rzeczy.

Na wyraźne żądanie Anglii i Rosji wkrótce ma być zwołany w Teheranie parlament, który, być może, unormuje potworne stosunki, dotychczas panujące w kraju.

INDYE WSCHODNIE.

Z okazji 50-tej rocznicy przyłączenia do korony angielskiej Indyi wschodnich król Edward VII wystosował do miejscowej ludności odezwę, w której wzywa ją, aby przeciwdziałała spiskom, i zapowiada amestę oraz rozszerzenie praw reprezentacyjnych.

Od niedawna rozwinął się w Indyach Wschodnich ruch wrogiego panowaniu angielskiemu. Propaganda polityczna prowadzona była wszelkimi sposobami, przy pomocy tajnych stowarzyszeń, rozruchów ulicznych, stawiania oporu władzom angielskim i napaści na Europejczyków.

Rozumna jednak i liberalna polityka Edwarda VII niewątpliwie uspokoi Indye i przywiąże do korony angielskiej silniejszymi węzłami, niż wszelkie represje i uciski.

CHINY I TYBET.

Niezwykłą uroczystość święcił niedawno Pekin. Był nią oficjalny przyjazd tybetańskiego Dalaj-Lamy, który od tej pory stronił zupełnie od Chin. Fakt ten zasługuje na uwagę, jako doniosłej wagi akt polityczny, gdyż oznacza, iż, porozumienie chino-tybetańskie ostatecznie doszło do skutku, a więc coraz bardziej tracą swą moc wpływu państw europejskich.

Wogóle Wschód ostatnimi czasy coraz samodzielniej zaznacza swoje istnienie, i kto wie, czy wiek XX nie będzie okresem federacji „poniżonych” ludów Wschodu.

STANY ZJEDNOCZONE.

I druga półkula świata stała się widownią ciekawych wydarzeń politycznych.

Tegoroczne wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych były niesłychanie ważne, od ich wyniku bowiem zależy całe ukształtowanie rządu Unii, gdyż w bieżącym roku mają być nanowo rozdane mandaty reprezentacyjne. Zwycięstwo więc republikanina Wiliama Tafta jest zatem walnym zwycięstwem partii republikańskiej, która zajmie zapewne głównejsze urzędy federacyjne.

Nie będzie to bez doniosłego znaczenia i dla polityki międzynarodowej, zwłaszcza w sprawach, dotyczących Dalekiego Wschodu.

* * *

Bardzo obficie, jak widzimy, zapisała się kronika polityczna z ostatnich dni. To też domysłów i horoskopów na jej temat snuje się wciąż bez liku. Który z nich okaże się lepszym, wkrótce zobaczymy.

W każdym razie wiek XX-ty zapowiada wielkie zmiany w całym świecie. K.

Z TEATRU KRAKOWSKIEGO.

„Syn królewski”, dramat w 3-ach aktach Adama Krechowieckiego.

Głośny autor cenionych powieści historycznych p. Adam Krechowiecki, nie od dzisiaj stara się wypowiedzieć także i w formie dramatycznej. W usiłowaniach tych, nie zawsze dodatnim skutkiem wieńczonych, wrócił szanowny autor ze sfery współczesności do zamierzchłej przeszłości, którą zna, rozumie, odczuwa i z dużym powodzeniem wskrzesza na scenie. Wyni-

kiem tego zwrotu jest „Syn królewski”, wystawiony w Krakowie po raz pierwszy 1 b. m.

Bohaterem dramatu jest syn i następca Bolesława Chrobrego, Mieszko II, zwan „gnuśnym” (panuje od 1025 r. do 1034 r.), jedna z najtragiczniejszych postaci piastowskiej doby naszej historii. Życie jego ciężkie, intrygi cesarza niemieckiego, Konrada II, i Jarosława Mądrego na Rusi, knowania żony Ryczezy i brata Bezpryma, nie ukończona wreszcie walka między ginącym pogaństwem a triumfującym chrześcijaństwem, oto niezmiernie obfity materiał historyczny, którym dramaturg może dysponować. Adam Krechowiecki materiałem ten opanował całkowicie. Pod piórem jego odzyskały opowiadania zapleśniałych kronik pierwotną plastykę i barwę życia. A talent autora, upraszczając kontury poszczególnych postaci, powiększył je zarazem i ożywił gestem tężny, nawet heroizmu.

Poznawszy w pierwszym akcie samego Mieszka i jego lekkomyślny sposób rządzenia, dalej żonę jego intrygantkę niemiecką, Ryczezę, i starszego brata jego Bezpryma, który zadzierzga rozległą sieć knowań celem zdobycia tronu królewskiego, stajemy się w drugim akcie świadkami zapasów, jakie toczą się między światem pogańskim a chrześcijańskim, pomiędzy słowiaństwem a potężną, chociaż tylko pośrednio oddziaływającą niemiecką. Pierwiastek słowiańsko-pogański reprezentują na scenie przedewszystkiem Dobrowka, miłośnica mieszki, i ojciec Moimir, wieszcz pogański. Syn Dobrowki, Bolesław, postrzyżony na scenie wedle pogańskiego bardzo nastrojowego obyczaju, ma być wedle intencji Mieszka jego następcą. Plan ten jednak nie udaje się, ponieważ Bezprym doprowadza tymczasem zamiar swój do skutku, t. j. opanowuje tron Mieszka. W trzecim, ostatnim akcie widzimy Bezpryma, kiedy już zdążył zaskarbić sobie serdeczną nienawiść tych wszystkich, którzy ongiś zdradzili dlań Mieszka. Pozostaje jeszcze tylko Dobrowka, do której okrutny Bezprym pała ogromną namiętnością, rozbijającą się o hart tej młodej słowiańskiej duszy. Doprowadzony do wściekłości, Bezprym ma właśnie ojca Dobrowki i ją samą poddać torturowi, kiedy oto wraca Mieszko, który tymczasem wystarał się u cesarza niemieckiego o pomoc celem odzyskania tronu. Już słyhać trąby zwycięskich wojsk Mieszka, kiedy Bezprym, widząc, że wszystko stracone, pragnie jeszcze pojąć Dobrowkę i, rzuciwszy się na nią, pada trupem, ponieważ wierna Mieszkowi młoda Słowianka przebija go sztyltem. Mieszko pojawia się na scenie, kiedy już Bezprym leży nieżywy, i wygłasza długą tyradę, w której, mimo że jest już obłąkanym, zawiera się wiele wzniosłych i ciekawych myśli.

Na scenie krakowskiej zagrano „Syna królewskiego” ze zwykłą maestrią. Dyrektor Solski wydobyl ze swej roli Mieszka takie mnóstwo potężnych akcentów, że postać ta stała się bardzo plastyczną i żywą. P. Irena Solska w roli Dobrowki i p. Sosnowski w roli Bezpryma utrzymywali się dzielnie na tym wysokim poziomie gry, na który wszedł p. Solski. s—i.



Scena końcowa aktu III „Syna królewskiego”. Mieszko II (p. Solski), Dobrowka (p. Solska) stoją nad zwłokami Bezpryma (p. Sosnowski).

WIECZORY TEATRALNE I MUZYCZNE.

Wskrzeszenie sceniczne nieśmiertelnego dzieła. — Zwiertza aktualność „Wesela Figara“ i jego piękność stylowa, nabierająca ceny z biegiem lat. — Wznowienie arcydzieła Beaumarchais'go na scenie Teatru Wielkiego. — Nasi artyści dramatyczni w atmosferze klasycyzmu i literatury. — Uwagi i podziękowanie.

Figaro!... Jedna z tych postaci, jak Don-Kichot, jak Tartuffe, jak Zagłoba, które przestajemy poczytywać za utwór imaginacji ludzkiej. A to chyba musiały istnieć—zawsze!

Nawet specyficznie hiszpańskiego niema nic w balwierzewskim, głównej osobie trylogii Beaumarchais'go. Wszystko w nim—ogólno-ludzkie. Jak w hrabi Almachivie, Rozynie, don Bazilio...

Ubliżyłbym czytelnikom *Tygodnika*, rozwodząc się nad genezą, treścią i losami „Wesela Figara“. Szkolne podręczniki literatury powszechnej zapobiegły oddawna identyfikowaniu... opery Mozarta z arcydziełem Beaumarchais'go i „Barbieri di Sewiglia“ Rossiniego z nieśmiertelną komedią francuską. Ubliżyłbym sobie, próbując „jeszcze dokładniej“ wniknąć w istotę genialnego pomysłu Beaumarchais'go, niż uczynili to świetni komentatorowie „Cyrulika sewilskiego“, „Wesela Figara“ i „Matki występnej“, jak Lomenie, Larroumet, Fauguet, Lemaitre i tylni inni.

BARTOLO. Wskażę ci doskonały sposób pozbycia się go. Wyjść za niego za mąż!

Czemże jest ów Figaro, którego: spryt i werwa zostają nam, niestety, głównie w pamięci? Jest przeciw żywym protestom przeciwko wszelkim nierównościom społecznym—słusznym i niesłusznym. On, aczkolwiek człek niskiej kondycji, ładajako urodzony, jest przeciw arcy-mądrym, bystrym, czynnym, niezmordowanym, wszechdobrym, pomysłowym, w fortele i subtelne intrygi niepospolicie zasobnym i w dodatku całkiem bezinteresownym—no, i jakież jego stanowisko? Zależne, podrzędne, prawie pomiatane. A hr. Almachiva, dlatego tylko że „raczył urodzić się“ na zamku Aquas-Frescas, jako dziedzic olbrzymiej fortuny i arystokratycznego nazwiska, panuje! Temu niezastużenie „szydła gołą“, ów najlepszą brzytwą rady sobie dać nie może. *L'ésprit en disgrâce i la fortune en faveur!*—jakby wyraził się Girardin.

Nie nieśmiertelny—ż to kontrast? I przeto Figaro, pod jakąkolwiek ukaże się postacią na widowni świata, pewny być może zawsze: współczucia, bardzo szerokiej sympatii i gorących oklasków.

A dopiero, jeżeli, jak w roku Pańskim 1784, werwie się z hałasem niemającym, uchylwszy podstępnie zakaz królewski, na paryską scenę! Czy przypadkiem ów prototyp wszystkich Figarów, ów balwierz Beaumarchais'go, nie był—wówczas—upostaciowaniem tak zwanego *tiers état*, to jest, wyrażając się popularnie: ludu?

Owóż i mamy tajemnicę nadzwyczajnego, niebywałego powodzenia „Wesela Figara“ w przededniu Wielkiej Rewolucji. Owóż i mamy wytłómaczenie znanego orzeczenia Napoleona, że „Wesele Figara“ było „już działającą rewolucją“. Owóż i zrozumieliśmy się staną powtarzane tylokrotnie przenośnie o „grzmotach zbliżającej się burzy, huczących głucho po arcydziele Beaumarchais'go“.

Dziś nam te „grzmoty“ wydają się ot, turkotem niewinnym potocznych słów. Gdzież ich szalona zachwałność, gdzież ich „krwawa ślina“? Po komunie pa-

ryskiej i barykadach Moskwy, czembys ty, balwierzewski, mógł nam zaimponować?

— Nie po to—odpowie—powołał mnie na świat wielki Beaumarchais, abym imponował... *wam!* To, com *ongi* uczynił, wystarczyło aż nadto dla—współczesnych—i dla was. Wy tego juści wiedzieć nie możecie, ale ja wiem, co działo się na sali, przepełnionej po brzegi, co działo się aż hen, na ulicach Paryża, kiedy w akcie piątym, rzuciwszy w twarz Almachivie całą nicość jego i uzurpowaną nad „szarym tłumem“ przewagę, zawołał: *„Tandis que moi, morbleu!“*... Podczas gdy ja, do stu diabłów!... podczas gdy—ja!... Trząsł się Paryż—na tę jedną tylko inwokację przeciw i e nstwu między: nim a mną, między: nimi a nami!

Morbleu! mości Figaro, nie poruszajmy tego tematu. Coś uczynił *ongi*, toś uczynił. *Propria laus sordet*; nie wychwalaj siebie samego. Pójdź, zbierz do kupy wiernych swych kompanów i rozegrajcie raz jeszcze przed nami uciśną historię o wystrychnięciu na dudka zazdrosnego libertyna, pana twego, hrabiego Almachivie, coś go przecie sam z Rozyną ożenił, a który ci teraz, zbereźnik wyrodny, chce sprzątnąć narzeczoną. To ci dopiero piękne wywdzięczanie się!—godne... Almachivy.

I oglądaliśmy raz jeszcze, znaną prawie na pamięć, ową klasyczną, typową komedię, którą chwali się tak słusznie literatura francuska, nie parwienusz przecie żaden, ani chudo-pacholek. Oglądaliśmy z najwyższą przyjemnością.

Treść jej, juści, spowszedniała, a ironia, sarkazm i złośliwe, „rewolucyjne“ aluzje, stanowiące jej zaprawę, straciły oczywiście dla nas podniecającą właściwość. Lecz zostały: zawsze piękne, niepowszednie i rozszerzające skalę wrażeń naszych: styl, oraz nastrój.

Styl „Wesela Figara“ jest tak przeczysto francuski, jak *Louis Quinze* najcenniejszego okazu drogocennego biurka lub kredensu. Sam styl czyni z tej komedii dzieło sztuki. Co do charakteru ogólnego, nie jest to tylko, jak uartało się mniemać, najlepsza francuska *comédie d'intrigues*, lecz zarazem pierwszo-



ZUZANNA. Figarku kochany, myśl o naszych interesach FIGARO. Daj całusa, aby mi zaświtało w głowie.

rzędną *haute comédie*, dzięki podkładowi swemu głębokiej, ogólnoludzkiej psychologii. Wreszcie nastrój przedziwnej pogody, owiewający utwór cały, pomimo jego społeczno-politycznych, ostrych wycieczek, wysuniętych na plan pierwszy, działa, powiem śmiało, *mocniej* dziś na widza i słuchacza, niż domniemanie oddziaływał na pokolenie, zabawiane rozmaitemi sielankami i niewyszukanymi krotoczwilkami. Dodajmy, że w „Weselu Figara“, choćby tylko w konturach takich postaci, jak Bartolo, Bazyl, Brid'Oison, sama Zuzanna-Colombina, snują się jakieś podzwiewki dalekiej, średniowiecznej, naiwnej włoskiej *commedia dell'arte*. I wszystko to razem zarówno odtwarza jedną wielką *zabawę*, jak też i wywołuje pogodny wrazenie—zabawy, o którą dziś tak okrutnie, tak niemiłosiernie trudno...

Czy u nas, w Teatrze Wielkim, tydzień temu, przystąpiono do „wznowienia“ (bodaj że po latach trzydziestu z okładem) „Wesela Figara“ z dokładnym wyrozumieniem charakteru i stylu tej „sztuki“, tak niezmiernie mało mającej wspólnego z repertuarem nowoczesnym?

Ba! ogólny przecie *ton* koncepcji Beaumarchais'go i ogólny koloryst scen i obrazów obyczajowych z końca XVIII wieku musiały pozostać. Tem bardziej, że *mise en scène* ułożono i umiejętnie i starannie i okazale. Tedy np. rozkoszny akt czwarty utrzymał się w stylu *comédie pastorale* i nie mógł wręcz wypaść inaczej, zwłaszcza sekundowany przez wyśmienitą *entrée* p. Rapackiego (Don Bazile), wyspiewującego z całą precyzją stylową swoje:

*Coeurs sensibles,
coeurs fidèles,
Qui blâmez
l'amour léger...*

Ale—jakże nieskończenie wiele finaczyli i wyrazu pozacierano *en passant* po wszystkich aktach, we wszystkich scenach! Głównie dzięki nie wyegzercytowanej dostatecznie, przelatującej nad wyrazami: dykcji wielu artystów i artystek naszych dramatycznych. Dobra dykcja zdaje się szczezać na scenie warszawskiej... A dobra dykcja, dobywająca na jaw połowę przymiotów i zalet Beaumarchais'go, jako pisarza, jest wręcz nieodzowna przy interpretowaniu dzieł tego rodzaju, co „Wesele Figara“.

To też na wysokości sytuacji znaleźli się pp. Rapacki, Wilczyński (Bartolo), Wojdałowicz (Antonio), Szymanowski (Brid'Oison), nie tylko pod względem dykcji, ale i pod względem wniknięcia w odtwarzane postaci. P. Roland był tylko trzpiotowatym i zwinnym Figarem z „Cyrulika sewilskiego“, nie zaś kostycznym już i mającym wiele więcej do powiedzenia Figarem z „Wesela“. P. Pawińska (hrabina) zapomniała, że jest przeciw eks-pupilką dra Bartolo z „Cyrulika“ i że natura Rozyny nie mogła tak dalece zmienić się w ciągu dwóch trzech lat pożycia z hrabią Almachivą. P. Pawińska była prawie... donną Elvirą z „Don Żuana“, nie zaś świeżo upieczoną hrabianeczką, zaś hr. Almachiva (p. Janusz) sprawował się, jak usiłujący zachować wersalskie *decorum* zacny nasz obywatel wiejski, przebrany w strój francuski przez—Przybylskiego. Nawet p. Pichorówna, tak wysoce utalentowana artystka, przy całej staranności, wyszafowanej dla roli popisowej (Zuzanna), nie potrafiła wysubtelnić odcieniami wdzięcznej postaci, głównie, zdaje się, dzięki mało wyrobionej dykcji...

A może dzięki akustycznym, nieprzyjaznym dla „kameralnej“ sztuki warunkom wielkiej sceny i sali?

Jest „Wesele Figara“ sztuką obrazową i dającą pole do rozwinięcia efektownej wystawy (rzecz rzadka w klasycznym francuskim repertuarze), ale—siła jej: w dialogu i blasku kunsztu pisarskiego. Kto wie, czy przeto nie należałoby przenieść „Wesela“ do Rozmaitości, do przybytku mniej... honorowego, ale odpowiedniejszego.



ANTONIO. My, ludzie, możemy pić, nie mając pragnienia, i kochać o każdym czasie... I to tylko odróżnia nas od bydła.



BAZYLI (w otoczeniu całej wioski, akompaniuje sobie na gitarze do śpiewu).



Wiliam Howard Taft, nowoobраниy prezydent St. Z. AmerykiP.

Wszelako—pomimo podkreślonych z całą życzliwą szczerością mankamentów, niech wyrażę i dyrekcyi, i reżyseryi, i artystom wręcz: wdzięczność za wprowadzenie na scenę naszą pięknego, bogatego i cennego dzieła.

Należała się nam, publiczności teatralnej, taka „uczta” (wyrażając się stylem wzmianek dziennikarskich) po wielu wątpliwego smaku, a żadnej prawie pożywności preparatach z „drugiego”, a nawet „trzeciego” stołu scen zagranicznych. Jak się rzekło bowiem, stałe, mamy nadzieję, przebywanie na repertuarze naszym „Wesela Figara” stałe dawać nam będzie—*przyjemność i pożytek*.

Zespół to nie tak znowuż często trafiający się w najbliższem naszym otoczeniu, aby nie było wskazanem korzystać zeń, gdy się sposobność nadarza.

CZESŁAW JANKOWSKI.

Z żałobnej karty.

Ś. p. Jan Kałużyński, organista-jubilat przy kościele archikatedralnym św. Jana w Warszawie, zmarł dnia 1 listopada r. b., przeżywszy lat 65.

Wykazując od dzieciństwa wyjątkowe zamiłowanie do muzyki, poświęcił się zawodowi organmistrzowskiemu, na którym to polu zajął stanowisko pierwszorzędne w kraju.



Jan Kałużyński, wedł. daw. fotografii.

Jeszcze młodzieńcem, po ukończeniu konserwatorium warszawskiego, powołany został na organistę przy kościele po-karmeliczkim na Lesznie, gdzie pełnił swoje obowiązki ku ogólnemu zadowoleniu. Nieustająca jednak chęć doskonalenia się i pożądanie głębszej wiedzy muzycznej skłoniły go do

porzucenia zapewnionego miejsca, aby za zaoszczędzone z niemałym trudem pieniądze podążyć ku niezapewnionej, ale pociągającej przyszłości artystycznej.

Pojechał do Pragi i tu, żałując sobie na wszystko, odbywał wytrwale studia w miejscowym konserwatorium pod kierunkiem prof. Skuberskiego, zyskując szerokie podstawy do dalszej umiłowanej pracy.

Uzyskawszy po latach kilku chwalebny patent, znalazł od razu zajęcie przy jednym z kościołów przyklasztornych w Czechach; gdy jednak tęsknota pociągnęła go do kraju, wrócił do Warszawy i tu objął wkrótce zaszczytne stanowisko, na którym dotrwał godnie aż do końca dni swoich.

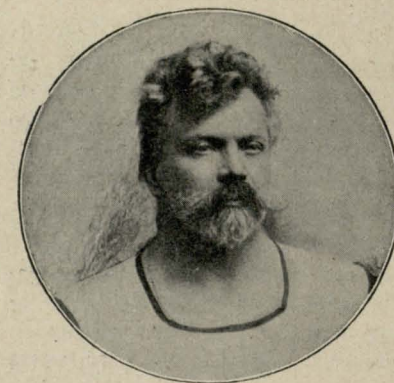
Jan Kałużyński był też przez szereg lat profesorem konserwatorium warszawskiego, gdzie z całym odda-

niem wdrażał licznych uczniów swoich w stylowość gry organowej, tak jak sam pojmował ją szlachetnie. Wrodzona sumienność kazała mu ustąpić z tego stanowiska, gdy poczuł, że wyczerpane pracą siły nie podążają nadal zadaniu.

Biorąc żywy udział w życiu muzycznym Warszawy, ś. p. Jan Kałużyński był długoletnim członkiem czynnym „Lutni” od samego jej założenia.

Człowiek zacny i prawy, pracownik cichy i skromny, jako artysta, chował w duszy wielkie zamiłowanie czystej sztuki, której służył z godnem znaczenia poświęceniem, a pożytkiem niezaprzeczo-nym. *Piotr Maszyński.*

* * *
Sokolstwo galicyjskie poniosło ciężką stratę. Dnia



Antoni Durski.

5 b. m. zmarł w sile wieku jego naczelnik związkowy, Antoni Trzaska Durski, w 54 roku życia, a więc w najpiękniejszej jeszcze sile wieku. Od najmłodszych lat zapalony gimnastyk, ś. p. Durski, już jako student politechniki, objął w r. 1875 naczelnictwo Sokola lwowskiego, na którym to stanowisku, przez całe sokolstwo polskie głęboko czczony i serdecznie kochany, dotrwał do ostatniej chwili życia. Zapałowi jego, energii i wytrwałości zawdzięcza sokolstwo galicyjskie w bardzo znacznej mierze swój wspaniały rozwój. Jako instruktor i organizator, był ś. p. Durski niezmordowanym. Z jednego końca Galicyi przerzucał się na drugi, śpiesząc z pomocą i radą wytrawną wszędzie tam, gdzie tylko idea sokola budziła się do życia. To też na pierwszym zlocie sokolstwa galicyjskiego w r. 1892 we Lwowie w uznaniu jego niepospolitych zasług mianowano go naczelnikiem związkowym. Jest to najwyższa godność, jaką biał sokola rozporządza.

Śmierć zabrała ś. p. Durskiego z szeregów sokolstwa polskiego w chwili, kiedy osiągnęło ono niebywały rozwój, kiedy ukochana przezeń idea *mens sana in corpore sano* stała się niemal ideą narodową, kiedy nie ma już prawie mieściny w Galicyi, któraby nie miała swojego Sokoła i sokolnii.

Wiktoryn Sardou.

Z Paryża donoszą, iż zmarł tam słynny dramaturg francuski, Wiktoryn Sardou, stojący na równym stopniu z Dumasem i Augierem. Nazwisko Sardou głośne się stało na cały świat, a utwory jego często grywano i na naszej scenie: „Nasi najserdeczniejsi”, „Starzy kawalerowie”, „Safandudy” należały do najpopularniejszych z e-

go repertuaru komedyi warszawskiej, zawsze mile widzianego przez publiczność teatralną.

Sardou, aczkolwiek bardzo powierzchowny w traktowaniu poruszanych w utworach zagadnień, posiadał jednak nadzwyczajną zręczność w budowaniu sztuki,



Wiktoryn Sardou przy repetycyi roli z p. Réjane.

oraz umiejętność podpatrywania istotnych wad ludzkich. To też akcja w jego komedjach toczyła się żywo i barwnie, dyalogi tryskały humorem i dowcipem, a szeregi wyrazistych i zabawnych typów przykuwał uwagę widza. W życiu prywatnem do ostatnich chwil Sardou robił wrażenie „młodego” starca, tak zawsze był energiczny i ruchliwy.

NASZE RYCINY.

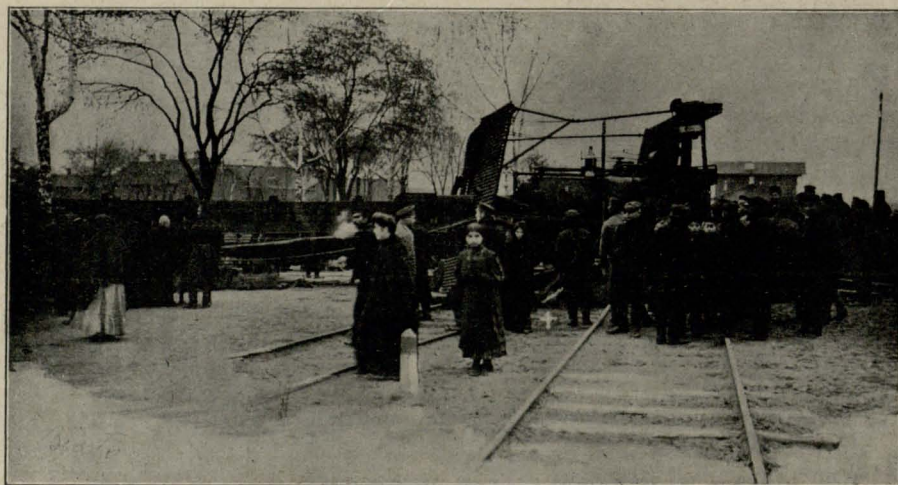
Edward Wittig, uczeń prof. Tantenheima w akademii sztuk pięknych w Wiedniu, występował już niejednokrotnie na kartach *Tygodnika* w pojedynczych i zbiorowych pracach swoich. Wykwintny w formie, czysty i pewny w rysunku, posuwa subtelność w wykonaniu aż do złudzenia żywego ciała. Ostatnie jego rzeźby z jesiennego Salonu Paryskiego przyjęte były przez krytyków najpoważniejszych dzienników francuskich, jak: *La Presse*, *Soleil*, *La Liberté*, *Echo de Paris* i inne, z nadzwyczajnem uznaniem, stawiającem naszego artystę między koryfeuszami rzeźby francuskiej.

Pod kafarem.

Przed tygodniem droga na cmentarz bródzieński była widownią niezwykłego wypadku. Olbrzymi czteropiętrowy kafar, przesuwany za pomocą motoru parowego pod tor kolejowy dla wbijania betonowych palów, nagle stracił równowagę i runął na przejeżdżający podówczas omnibus, napełniony ludźmi. Kilka ofiar znalazło śmierć na miejscu, uległszy straszliwemu rozmiżdżeniu, nie licząc tych, którzy albo dokonają życia w szpitalu, albo też zostaną kalekami na zawsze.

Wypadek ten notujemy, jako oburzający dowód niedbalstwa ze strony pracowników niemieckiej firmy „Weis i Freitag”, prowadzącej roboty żelazno-betonowe przy budowie nowego węzła kolejowego.

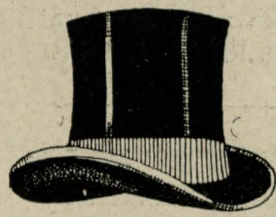
Może ukaranie winowajców wpłynie w ten sposób, iż w przyszłości więcej będą się liczyli u nas z względami bezpieczeństwa publicznego.



Katastrofa przy budowie węzła kolejowego na Bródnie.

NADESŁANE.

Na obecną porę w wielkim wyborze: **Zajęcia froeblovskie** jako to: **wyplatanki, wyszywanki, wyklówanki**, rysowanki, malowanki, **mozaiki** różnych systemów tak do składania **deseni**, jakoteż **liter i cyfer**, kuleczkowe, patyczkowe, kartonowe, kostkowe i obrazkowe, poleca



BIELIZNĘ MĘSKĄ

białą i kolorową z c. k. nadw. fabr. V. Suppaucic, poleca

ZDZIŚLAW ZDANOWICZ

W KRAKOWIE, ULICA SŁAWKOWSKA I. 3.

STEFAN POREBSKI
Kraków, obecnie Rynek 32, linia C-D

C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN
I KAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA-PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i. t. p.

KSIEGARNIA
GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie
poleca:
WYBÓR POEZJI
ARTURA OPPMANA (OR-OTA)
wydana nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.
Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

LUDWIK SZUFA KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

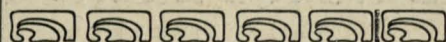
LEKARZ DENTYSTA A. ZAWADZKI

ZIELNA 7 róg Złotej, daw. Marszałkow. 108
Telefon 184.47. Przyj. od 10-2 i od 3-5 i pół.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.



ODPOWIEDZI.

Piątce. 3 rub. z 5-ciu próbami pisma pod wyszczególnionymi pseudonimami nie otrzymaliśmy wcale.

Artur Hurwicz w Lublinie. Forma wiersza „Zaduszki” słaba, nie wydrukujemy.

Albert Henryk. Pragniemy jak najchętniej rozszerzać grono swych współpracowników, ale nie możemy zamawiać u Pana artykułu, nie znając Pańskich uzdolnień.

Panu Józ. R. w Krakowie. Nie możemy drukować „Pieśni myśliwskiej”, rzecz słabsza od innych.

N. W. Z. Książka Seneki, z brakami, o jakich Pan wspomina, ma wartość bardzo niewielką. Szczegółową ocenę najlepiej dać może Panu bibliotekarz ord. Zamoyskich lub Krasieńskich, wreszcie antykwyjat H. Wildera. „Pisma Słowackiego” wyjdą w dwóch wydaniach: jedno nakładem Gebethnera i Wolffa, w układzie Artura Górskiego, wyjdzie w grudniu r. b. w 6 tomach, w cenie rub. 6, w opr. rub. 8 za całość, drugie nakładem Gubrynowicza we Lwowie, w układzie prof. Br. Gubrynowicza, ukaże się w 10 tomach w cenie rub. 18-tu. Pisma Z. Krasieńskiego wyszły w druku w r. 1907 w nowym zupełnym wydaniu, ułożonym i opatrzonym wstępem H. Gallego, w 4 tomach, w cenie 2 lub 3 rub. (na lepszym papierze), w oprawie od 3.50 do 7 rubli.

Panu K. J. Wiersz „O przyjdź” nie nadaje się dla *Tygodnika*, załujemy bardzo, że nie możemy zadośćuczynić „szczytom pańskich tęsknot”.

P. Żmilorowi. Z przekładów, aczkolwiek udatnych, skorzystać nie możemy.

FORTEPIANY,
PIANINA, PIANOŁE,
ORGANY,
MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17



Zadać wszędzie z antołem.

NARZĘDZIA LEKARSKIE,
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,
WYROBY NOŻOWNICZE

Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.
Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

Z upoważnienia Urzędu Lekarskiego m. Warszawy z d. 29 Listopada 1896 r. № 5152

A. SEGUIN
BORDO (Francya)
Członek Jury
Po za Konkursem
Wystawa Powszechna
PARYŻ
1900

FARBA D. RICHARD'SA
Udoskonalony specyfik do natychmiastowego zabarwienia włosów i brody.
Sprzedaż we wszystkich znaczniejszych Perfumerjach, APTEKACH i Składach Aptecznych.

Nowe maszyny
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI
„APOLLO”
nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieodzowne w każdym gospodarstwie.
PASY SKÓRZANE
oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca
ALFRED GRODZKI
Warszawa, 33, Senatorska.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach,
spirytusowe lampy, palniki,
kucharki, żelazka i t. p.
B. CIA WIŚNIEWSKI i S-ka
Foksa! 18, Telefon 3038.

MEBLE
ZAŁĘSKI i S-ka
Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1-sze i 2-gie piętro.
Rok założenia 1870. Telefon 16.39.

ZABAWKI
Gry salonowe. Kotyliowane przybory
Witraże do okien. Filtry do wody
Nowości paryskie. Katalogi franco.
MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8)

Nagrodz. złotym medalem na wyst. przemysł.-zdrojowej w Ciechocinku **Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzciniowych T. & W. Krakowscy** Kantor: Warszawa, Nowogrodzka 36. Tel. 36.83

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

Skład maszyn i potrzeb mleczarskich. Biuro techniczno-mleczarskie. Artykuły hodowlane, gniotowniki do owsa, żyta i jęczmienia. Szatkownice do jarzyn. Maszyny do białenia i dezynfekcji i t. p. Przedstawiciele firm: Sveaseparator—Stokholm. Simona-Frères—Cherbourg, Chr. Hausen—Copenhaga i t. d. Sprzedaż i zakup masła. Katalog bezpłatnie.

VENUS puder uznany na wystawach higienicznych za najlepszy i nieszkodliwy. **KONSERWATOR** wzmacnia włosy, powstrzymuje wypadanie takowych, pobudza do porostu, usuwa łupież i mikroby 80, 1.25 i 2 rub, 40 kop. **AGATOL** proszek i eliksir do **ZĘBÓW** z silnym aromatem, najlepsze z dotychczas znanych. Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34.

MIŁUJĄCYM ZDROWIE! poleca: **Okulary i Binokle** z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych, **Oliwa** usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, **Bandaże elektryczne** usuwają rupturę, nie krępują ruchów od rb. 6, **Przepaski higieniczne** Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów **w dobrym gatunku**. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie **Michała Pik, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.**

PASTILLES DE **TAMAR INDIEN GRILLON** Owoc przeczyszczający PRZECIW **OBSTRUKCYI**
 Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem *E. Grillon*
 PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.
 We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Najlepsza Pasta do Obuwia H. Trembińskiego **„INTRYGANT”** żądać wszędzie

Wyłączna sprzedaż oryginalnych sławuckich **BUREK, PELERYN i KURTEK, BUTÓW** filcowych, **KAFTANÓW, KOSZULEK, KALESONÓW** wełnianych **SERDAKÓW** męskich, **UBRAŃ** zamszowych **PLEDY, DERY** na konie, poleca magazyn przyborów podróży **J. ROKICKI i S-ka** Warszawa, Nowo-Senatorska Nr 1 (hotel Rzymski). Ceny fabryczne. Cenniki gratis.

Znane ze swej dobroci rękawiczki kosmetyczne na czerwone z odmrożenia ręce, od rub. 2.50, polca Perfumerya W. PASZKOWSKIEGO, Marszałkowska 109.



Słynna ze swych własności aromatycznych, właściwych substancjom roślinnym, służącym do jej przygotowania. DO NABYCIA WSZĘDZIE.

Koncesjonowana przez c. k. Namiestnictwo **SZKOŁA MALARSTWA** (DLA MĘŻCZYZN I KOBIET) Leonarda Stroynowskiego W KRAKOWIE. *Gołębia Nr 14.*

JULIUSZ SŁOWACKI PISMA wydane za życia i po śmierci autora, w układzie D-ra Artura Górskiego 6 tomów (przeszło 3,500 stron druku) rub. 6, w opr. rub. 8. Ukażą się w początku Grudnia r. b. Nakład G. GEBETHNERA i S-ki w Krakowie.

E. UNIERZYSKI CHMIELNA Nr 3 poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.

JÓZEF FRAGET
 FABRYKA WYROBÓW PLATEROWANYCH I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY
 Warszawa, Elektoralna 753/16.
 SKŁADY: Wierzbowa 8. Nalewki 16.

Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo poważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomysły w tej mierze. Nie uiega bowiem wątpliwości, że można spowodować **porost włosów** jeśli istnieje jeszcze t. zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwający łupież. Te właśnie zalety posiada **mydło „Tataro-Chmielowe”**, wyrabiane w „Centralnym Laboratorium Chemicznym” (Czekaj i Krysiewicz) w Warszawie. Sprzedaż w składach aptecznych.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja **Ch. GEBER w Grochowie** Magazyny w Warszawie: Chłodna Nr 18, Niecała Nr 9, Dzika Nr 7, Leszno Nr 4, Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2 a, Praga Brukowa Nr 32, Długa Nr 19. Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26 Telefonu 167.49.

HOTEL SAVOY W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn Krakowskie Przedmieście **№ 15** dom Hrabiego J, Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcji, nie zwraca się